



Zbrodnia  
hrabiego  
Neville'a

AMÉLIE  
NOTHOMB

**AMÉLIE**  
**NOTHOMB**

Zbrodnia hrabiego  
Neville'a

PRZEŁOŻYŁA  
Małgorzata  
Kozłowska

Wydawnictwo  
Literackie

© Editions Albin Michel, Paris 2015  
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2015

TYTUŁ ORYGINAŁU: "Le crime du comte Neville"

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: © Stéphane Haskell; opracowanie  
komputerowe okładki na podstawie oryginału: Marek Pawłowski

REDAKTOR PROWADZĄCY: Anita Kasperek

REDAKCJA: Henryka Salawa

KOREKTA: Kamil Bogusiewicz, Małgorzata Wójcik

**Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.**

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 96 tel.: (+48-12) 619 27 70

ISBN: 978-83-08-05851-0

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

## **Spis treści**

Zbrodnia hrabiego Neville'a

Gdyby ktoś powiedział hrabiemu Neville'owi, że wybierze się kiedyś do wróżki, hrabia z pewnością by mu nie uwierzył. Zwłaszcza gdyby tamten dodał, że uda się do niej po córkę, która uciekła z domu – jako człowiek wrażliwy, Neville może nawet by zemdlał, usłyszawszy te słowa.

Drzwi otworzyła mu osoba wyglądająca na sekretarkę i zaprowadziła go do poczekalni.

– Pani Portenduère zaraz pana przyjmie.

Neville poczuł się jak u dentysty. Usiadł sztywno i popatrzył niepewnie na tybetańskie wzory na ścianach. Gdy tylko wszedł do gabinetu wróżki, zapytał o córkę.

– Mała śpi w pokoju obok – odparła kobieta.

Neville bał się odezwać: a jeśli zażąda od niego okupu? Wróżka zaś, kobieta bez wieku, korpulentna, energiczna, pełna życia, mówiła dalej:

– Spacerowałam po północy po lesie w pobliżu pańskiej posiadłości. Księżyc jasno świecił, było widno niczym w środku dnia. To tam natknęłam się na pana córkę, zwiniętą w kłębek i szczękającą zębami. Nie chciała mi nic powiedzieć. Przekonałam ją, żeby ze mną poszła: gdyby została na dworze, umarłaby z zimna. Gdy dotarliśmy do mojego domu, chciałam od razu do pana zadzwonić, żeby pana uspokoić; powiedziała, że nie ma po co, że na pewno nie zauważył pan jej zniknięcia.

– Rzeczywiście.

– Więc czekałam z telefonem do rana. Jak to możliwe, że nie zauważył pan nieobecności córki?

– Zjadła z nami kolację i jak co wieczór poszła na górę, do swojego pokoju. Pewnie wyszła, kiedyśmy już spali.

– Jak się zachowywała podczas kolacji?

– Jak zwykle, nie odezwała się słowem, ledwie coś skubnęła. Chyba nie była w najlepszej formie.

Wróżka westchnęła.

– Nie niepokoi pana stan córki?

– Ma siedemnaście lat.

– Czy to według pana wszystko tłumaczy?

Neville zmarszczył brwi. Jakim prawem ta kobieta tak go przepytuje?

– Domyślam się, że dziwią pana moje pytania, ale w końcu to ja znalazłam pańską córkę w lesie w środku nocy. Byłam zaskoczona, sam pan rozumie. Gdy zapytałam ją, czy przyszła na randkę z chłopakiem, spojrzała na mnie zdumiona.

– No tak, to nie w jej stylu.

– A co jest w jej stylu?

– Nie wiem. To małomówne dziewczę.

– Nigdy panu nie przyszło do głowy, żeby zapewnić jej jakąś pomoc

psychologiczną?

- Jest osobą skrytą. A to jeszcze nie choroba.
- A jednak uciekła z domu.
- Po raz pierwszy.
- Dziwi mnie pański spokój.

Neville z trudem pohamował złość: jakim prawem ta nieznajoma śmie go osądzać? Kiedy rano przekazała mu wiadomość przez telefon, był wstrząśnięty. Ale nie należał do ludzi okazujących emocje.

– Wiem, wtrącam się w nie swoje sprawy – ciągnęła. – Ale trzeba ją było widzieć samą w lesie, trzęsącą się z zimna. Nawet nie wzięła ze sobą koca ani płaszcza. Szkoda mi tej małej, jest taka zagubiona. Zastanawiam się, czy nie za mało się nią pan interesuje. Może jest czymś sfrustrowana?

Neville zazgrzytał zębami na dźwięk tego słowa. Od paru lat z niewiadomych przyczyn ludziom nie wystarczały takie pojęcia jak przygnębienie, zniechęcenie czy chandra, które przecież doskonale spełniały swoją funkcję. Wszyscy musieli doświadczać frustracji. Neville alergicznie reagował na to słowo, śmieszne i pretensjonalne zarazem.

Wróżka spostrzegła jego irytację i pomyślała sobie, że jej cios był celny: odtąd poważniej będzie traktował ojcowskie obowiązki.

Neville wstał, najwyraźniej miał dość jej gadaniny. Wróżka podeszła do niego, ujęła go za rękę, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że sercem jest z nim, ale gdy dotknęła spodu dłoni mężczyzny, wyraz jej twarzy się zmienił.

- Wyda pan wkrótce wielkie przyjęcie – powiedziała.
- To prawda.
- Zabije pan na nim jednego z gości.
- Słucham?! – zawołał hrabia i aż pobladł ze zgrozy.

Wróżka puściła jego dłoń i się uśmiechnęła.

– Proszę się nie martwić. Obejdzie się bez kłopotów. Proszę za mną, obudzimy pańską córkę.

Gdyby nie przepowiednia, jaką przed chwilą usłyszał, Neville nie poskapiłby córce czułości. Ale teraz, po wejściu do pokoju, w którym była, wydawał się jeszcze sztywniejszy niż zwykle.

Dziewczyna leżała na łóżku polowym, nie spała.

- Dzień dobry, tato – powiedziała z powagą.
- Dzień dobry, kochanie. Jak się czujesz?

Nie czekając na odpowiedź, spojrział w stronę wróżki, w nadziei, że zostawi ich samych. Ale ta najwyraźniej chciała być świadkiem sceny, przyglądała się im z zaciekawieniem.

Hrabia, nieobecny duchem, próbował odegrać wzruszenie, którego z pewnością by doznał, gdyby nie przepowiednia i obecność wróżki. Uściskał

córkę, która swoim zwyczajem zareagowała na to obojętnie.

– Chodźmy – zdecydował.

Pani Portenduère chciała ugościć ich śniadaniem, ale córka wybawiła ojca z niezręcznej sytuacji:

– Dziękujemy. Musimy wracać, mama będzie się niepokoić.

– Mam na imię Rosalba – powiedziała wróżka. – Tak się do mnie zwracaj, dobrze?

– Dobrze – odrzekła dziewczyna, żywiła najwyraźniej nadzieję, że nie będzie miała ku temu okazji.

– Gdybyś miała chęć z kimś porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać – dodała wróżka, wręczając jej wizytówkę.

Zaciągnęła jeszcze Neville'a do gabinetu.

– Trzeba było okazać córce więcej ciepła – powiedziała, jakby to, co się zdarzyło, upoważniało ją do oceny jego zachowania.

Już miał zaprotestować i powiedzieć, że nie uczynił tego wyłącznie z powodu jej obecności, kiedy zbiła go z tropu pytaniem:

– Dlaczego tak jej pan dał na imię?

– Nie rozumiem.

– No wie pan, nie nadaje się córce imienia Sérieuse<sup>1</sup>.

– A dlaczegoż by nie? – powiedział hrabia, myśląc: pani imię też jest nietypowe.

– Kiedy ma się siedemnaście lat, nie jest się rozważnym.

– Popełnia pani błąd językowy. Używa pani formy bezosobowej w odniesieniu do konkretnej osoby.

Wróżka pokiwała głową.

– Chyba ma pan ze sobą jakiś kłopot.

– Dość już tego, proszę pani. Uratowała pani moją córkę, jestem pani szczerze wdzięczny. Pozwoli pani, że poprzestaniemy na tym.

W drodze do zamku Neville starał się zachowywać tak, jak powinien to czynić ojciec, który spotyka się z córką po jej ucieczce z domu.

– Masz mi coś do powiedzenia, kochanie?

– Nic szczególnego, tato.

– Dlaczego uciekałaś?

– Chciałam po prostu spędzić noc w lesie. Wróżka się na mnie natknęła i to co zrobiłam, nazwała ucieczką. Gdyby się nie zjawiała, wróciłabym o świcie do swojego pokoju i nikt by niczego nie zauważył.

– Dlaczego jej tego nie powiedziałaś?

– Powiedziałam. Ale upierała się przy swoim, według niej każdy nastolatek ucieka z domu.

– A dlaczego chciałaś spędzić noc w lesie?

– Żeby się przekonać, jak to jest.  
– Pierwszy raz tego spróbowałaś?  
– Tak.  
– Mogłaś umrzeć z zimna.  
– Nigdy bym nie pomyślała, że będę tak szczękać zębami we wrześnieją noc.

Hrabia uznał w duchu, że trudno takiemu postępowaniu coś zarzucić.

– Wiesz, że w twoim wieku też spędziłem noc w lesie?  
– Naprawdę?  
– Lepiej nie mówmy o niczym mamie. Żeby się nie martwiła.  
– Dobrze.

Ledwie Neville, dumny z tego, że odbył wreszcie prawdziwą rozmowę z córką, zdążył się trochę odprężyć, przypomniawszy mu się przepowiednia wróżki. W pierwszą niedzielę października miało się odbyć na zamku Pluvier słynne coroczne garden party. W tym odległym regionie belgijskich Ardenów zawsze stanowiło wielkie wydarzenie towarzyskie. Nie było mowy o tym, żeby je odwołać. Neville drżał na myśl, że ma zabić jednego ze swoich gości. Takich rzeczy się nie robi. I pomyśleć, że ma popełnić taką gafę na ostatnim przyjęciu, jakie wyda na zamku Pluvier!

Jego rodzina była zrujnowana, od drugiego listopada nie będzie miała prawa wstępu na zamek. Do pożegnalnego przyjęcia przywiązywał tym większą wagę, że po raz ostatni zamierzał bronić na nim honoru rodziny, zabawiając gości. Na pewno mu się to nie uda, jeśli jednego z nich zamorduje.

Złapał gumę. Ani ojciec, ani córka nie potrafili zmienić koła.

– Zostały nam tylko dwa kilometry. Chodźmy na piechotę. Poproszę twojego brata, żeby zajął się samochodem.

Milczenie kierowcy podczas jazdy jest czymś normalnym, a nawet pożądanym: świadczy o tym, że skupia się on na prowadzeniu samochodu. Milczenie ojca podczas spaceru z córką jest już czymś mniej oczywistym. Hrabia próbował powiedzieć coś, co wydawało mu się najstosowniejsze w zaistniałej sytuacji.

– Opowiedz mi, kochanie, jak było w nocy w lesie.

– Na początku było cudownie. Pohukiwała sowa, powietrze miło pachniało. Położyłam się na mchu, za poduszkę miałam zwiędłe liście, słyszałam przemykające w pobliżu sarny. Ale bardzo szybko zrobiło mi się zimno i zewsząd powiało grozą.

– Przecież mogłaś wrócić, choćby po to, żeby wziąć jakiś koc.  
– Postanowiłam, że wytrwam.

Uśmiechnął się. Stawianie sobie tego rodzaju wyzwania uznał za typowe dla nastolatków.



– Potem przyszła pani Portenduère, dała mi swoją pelerynę. Jest miła, ale jakaś taka... nie wiem, jak to określić.

– Chyba wiem, co masz na myśli.

– Szukała jakichś dziwnych grzybów, które trzeba zbierać po północy.

– Zawracanie głowy.

– Pewnie były jej potrzebne do magicznych sztuczek.

Neville przypomniał sobie zalecenie wróżki: powinien się bardziej zainteresować córką, może być sfrustrowana. Miał nadzieję, że Sérieuse nie ma takich zmartwień, ale postanowił się upewnić:

– Powiedz mi, nie jesteś przypadkiem sfrustrowana, kochanie?

– Słucham??

– Nie jesteś przypadkiem sfrustrowana?

Już samo wypowiedzianie tego słowa wyprowadzało go z równowagi.

– Tato, proszę, nie zadawaj mi śmiesznych pytań.

Uspokoił się i już nie drążył sprawy. W oddali widać było jedną z wież zamkowych otoczoną zewsząd lasem. Hrabia poczuł, że na jej widok córka jest równie wzruszona jak on: jakże oboje kochali to miejsce! Jakże trudno było im znieść myśl, że je utracą! Najgorsze było to, że nie będą w stanie obronić tej oazy spokoju. W Belgii nie ma przepisów chroniących zabytki. Przyszli właściciele będą mogli bez przeszkód zrównać z ziemią budowlę z 1799 roku i wyciąć otaczający ją prastary las. Utrata tego czarownego miejsca mniej ich oboje dręczyła niż sama myśl, że ktoś może zamek zburzyć.

– Smutne, prawda?

– Tak.

Uważali, że dalsze roztrząsanie tematu uwłaczałoby ich godności. Wiedzieli, że ubolewanie nad utratą rodzinnego zamku w 2014 roku zakrawałoby na nieprzyzwoitość. Jak lubił to przypominać Neville, i tak dobrze, że udało im się tak długo zachować Pluvier. Na szczęście w ich rękach pozostanie Aumônière, dom u podnóża zamku, w którym mieszkali niegdyś dzierżawcy. Nie będą więc pozbawieni dachu nad głową. Ale w razie zburzenia zamku i zniszczenia lasu będą naocznymi świadkami rozgrywającego się tuż obok dramatu.

– Gdzie byliście? – zapytała hrabina na widok męża i córki.

– Na mszy – wymyślił naprędce hrabia.

– Na mszy? Co wam przyszło do głowy?

– Poczulałam się sfrustrowana – powiedziała Sérieuse.

– Co takiego?

– Tak sobie tylko żartuje – skwitował hrabia. – Orestes, złapałem gumę. Zostawiłem samochód w połowie drogi do miasteczka, na poboczu. Możesz się tym zająć?

Młodzieńca nie trzeba było długo prosić. Neville nie mógł się nadziwić, że

ten dziarski, barczysty dwudziestodwulatek, pasjonujący się mechaniką i poruszający się jak ryba w wodzie we współczesnym świecie, jest jego synem. Taką samą dumę i podobne zakłopotanie czuł, gdy patrzył na piękną, czarującą, wszechstronnie utalentowaną dwudziestoletnią córkę Elektrę. Jedyńm dzieckiem, które wydawało mu się podobne do niego, była nieporadna, małomówna i wewnętrznie zagubiona Sérieuse. Kiedy pytano go, dlaczego dał dwojgu starszym dzieciom imiona Orestes i Elektra, odpowiadał nonszalancko, że kultuwuje obyczaj najznamienitszych rodów. Gdy pytano go o imię najmłodszej z trójki, wyrażając zdziwienie, że nie nazwał jej – jak nakazywałyby logika – Ifigenią, odpowiadał:

– Łatwiej mi zaakceptować ojcobójstwo i matkobójstwo niż dzieciobójstwo.

Protestował, kiedy próbowano go za to ganić. Uważał, że w czasach, kiedy nadaje się dzieciom najbardziej niestosowne imiona, wykazał się wielkim umiarem, wzorując się na klasykach. Najbardziej krytykowano go za imię młodszej córki:

– Uważa pan, że rozwaga jest cnotą, której należy nadawać szczególnie znaczenie?

– Oczywiście. Zresztą niczego nowego nie wymyśliłem. Na przykład imię Ernest znaczy tyle, co rozważny.

– W takim razie dlaczego nie Ernestyna?

– Brzydko brzmi. Sérieux też nie najlepiej, za to Sérieuse brzmi wspaniale.

– Nie ma pan wrażenia, że to co pan zrobił, to woda na młyn tych, którzy twierdzą, że arystokraci noszą cudaczne imiona?

– Drogi panie, moja żona ma na imię Aleksandra, ja sam: Henryk. Nosimy imiona niczym nieróżniące się od innych.

Rzadko można było spotkać bardziej kochającego męża niż Neville. Miał czterdzieści lat, kiedy poznał o dwadzieścia lat od siebie młodszą kobietę, która została wkrótce jego żoną. Zakochał się w olśniewająco pięknej dziewczynie od pierwszego wejrzenia. Zawiadywał w owym czasie najbardziej renomowanym belgijskim klubem golfowym, Ravensteinem, w którym dzięki niemu kwitło życie towarzyskie. Nie był wprawdzie bogaty, ale cieszył się powszechnym szacunkiem. Cóż, kiedy jego życie uczuciowe było jednym wielkim pasmem niepowodzeń. Czuł, że jest mu sądzone starokawalerstwo.

– Zawsze sobie wybierasz zbyt atrakcyjne kobiety – mówili mu przyjaciele.

Nic nie mógł na to poradzić, nie potrafił oprzeć się pięknu. Próbował się zakochać w dziewczynach przeciętnej urody, podobnych pod tym względem do niego, ale bez powodzenia. Piękne kobiety działały na niego niczym najsilniejszy narkotyk: ich obecność odurzała go, wpatrywał się w nie zachłannie, wciąż nienasycony. Aleksandra była jeszcze bardziej olśniewającą pięknnością niż wszystkie dziewczyny, których czarowi wcześniej uległ. Myślał, że nie ma u niej żadnych szans. Tymczasem już w trakcie drugiego spotkania zawołała:

– Podoba mi się pan! Może przejdziemy na ty?

Aleksandra była osobą nadzwyczaj pogodną, co okazało się tylko jedną z jej niezliczonych zalet. Henryk zakochał się w niej do szaleństwa. Rodzina jednak nie pochwałała jego płomiennego uczucia do pochodzącej z drobnej szlachty dziewczyny.

Ojciec, Alkasyn Neville, mężczyzna skłonny do krzyku, sprzeciwił się małżeństwu:

– Zabraniam ci poślubić tę dziewczynę. Kochasz ją wyłącznie dla jej urody. Kiedy jej uroda zgaśnie, podziękujesz mi za te słowa.

Henryk nie ustąpił. Był rok 1990, uznał, że nie potrzebuje ojcowskiego błogosławieństwa. Kochał go i szanował, ale był oburzony, że nie akceptuje Aleksandry, bo nie podoba mu się jej pochodzenie.

Przyjęcie weselne odbyło się we wspaniałych ogrodach Ravensteinu. Henryk i Aleksandra niezmiennie się kochali od czterech lat. Mimo to Alkasyn dalej prorokował, że ich związek skończy się nieszczęściem. Niedługo potem umarł.

Henryk Neville był z siebie dumny, że potrafił zlekceważyć zakaz ojca: ślub z Aleksandrą był najlepszą rzeczą, jaką zrobił w swoim życiu. Alkasyn całkowicie się mylił: Henryk nie zakochał się w żonie wyłącznie dla jej urody, która zresztą wraz z upływem lat nabierała blasku. Czterdziestoośmioletnia Aleksandra była jeszcze bardziej olśniewająca niż dwudziestoletnia panna. Jej niezmienna pogoda ducha udzielała się otoczeniu, poczynając od niego samego: gdyby nie ona, popadłby w melancholię, do której, o czym sam wiedział, był skłonny.

Kochał żonę jeszcze mocniej niż w dniu, kiedy ją ujrzał po raz pierwszy. Orestes i Elektra odziedziczyli po niej urodę. Gdyby wszystko udało mi się w życiu tak jak małżeństwo, byłbym najszcześniejszym człowiekiem na świecie, myślał.

Niewiele zresztą brakowało, a by był. Niestety, mniej dopisywało mu szczęście w sprawach majątkowych. Zarządzał arcybogatym klubem golfowym tak dramatycznie uczciwie, że nie został milionerem, jakim stałby się w jego sytuacji każdy mniej rygorystyczny człowiek. Od trzech lat był na emeryturze i mimo znacznie skromniejszego trybu życia nie zdołał zapobiec rzeczy nieuchronnej: sprzedaży zamku.

– Gdybyśmy chociaż wiedzieli, kto go kupi! – mówił.

W dobie kryzysu prawie wszystkie najznamienitsze belgijskie rody sprzedawały swoje zamki. Kettenisowie na przykład sprzedali Merlemont, Nothombowie – Pont d'Oye. Neville miał nadzieję, że zamek Pluvier trafi w równie godne ręce jak Merlemont, który kupiła rodzina wywodząca się z belgijskiej szlachty. Ponieważ znakomita większość rodzin z tych sfer była ze sobą spokrewniona, Kettenisowie nie czuli się wyzuci z rodzinnych dóbr.

Musiła się jeszcze znaleźć jakaś szacowna osoba, która zechciałaby kupić Pluvier. Wcale nie było to przesądzone. Jedyne walory zamku były jego uroda i pewien szczególny wdzięk.

Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić jego mankamenty: dach się zapadał, budynek był pozbawiony wygód i pozostawał w ogólnie słabej kondycji. Przypominał trochę pannę na wydaniu, której jedynym atutem jest powab. Zawsze można się jakoś dogadać, dodawał sobie otuchy hrabia. Niestety, wiedział, że nie będzie to zależało wyłącznie od jego chęci. Jeśli jedynym kupcem, który się zgłosi, okaże się boss rosyjskiej mafii, nie będzie mógł wybrzydzać. Pocieszał się, że jakiś nikomu nieznanemu zamku położony hen daleko w belgijskich Ardenach raczej nie wzbudzi zainteresowania podejrzanych Rosjan. Najbardziej dręczyła go myśl, że Pluvier może kupić słynną sieć fast foodu, która zrówna z ziemią stare mury i wykarczują las, żeby wybudować na ich miejscu restaurację, parking i park zabaw ku czci Disneya. Gdy tylko o tym pomyślał, budził się w środku nocy zlany potem. Ogarniało go wtedy takie przerażenie, że jedynym ratunkiem była ucieczka w wyobraźnię i myśl o garden party czwartego października: tak, ostatecznie przyjęcie, jakie wyda na zamku Pluvier, będzie wspaniałe, był tego pewien. Będzie miało w sobie rozpaczliwe, bolesne piękno łabędziego śpiewu. Pogoda dopisze, jak zawsze w tym regionie w pierwszą niedzielę października. Buki wyrastające ponad mury zamku przywdzieją już szaty rudawe, bardziej wzruszające niż te świeże, wiosenne. W świetle jesienno słońca nabierze szlachetności niezwyklej odcień oranżu na fasadzie, na który potencjalni kupcy wydawali krótki, nieodwołalny wyrok: „Do przemalowania!”, co budziło w Neville’u mordercze instynkty.

No właśnie... „Zabije pan na przyjęciu jednego z gości” – powiedziała wróżka.

Coś mi ta przepowiednia przypomina, pomyślał Henryk. No tak, opowiadanie Oscara Wilde’a, w którym opisana była podobna historia. W bibliotece na zamku panował jednak taki nieporządek, że odnalezienie w niej jakiegokolwiek książki graniczyło z cudem.

Wolał pójść do księgarni w miasteczku. W katalogu serii wydawniczej Folio trafił na poszukiwany tytuł: Oscar Wilde, *Zbrodnia lorda Artura Savile’a*. Był tylko jeden egzemplarz. Kupił go, wrócił do domu, zaszył się w kącie z książką i przeczytał ją jednym tchem. W młodości owo opowiadanie wzbudziło w nim wesołość, teraz zrozumiał, o jak poważną sprawę chodziło.

Lord Artur Savile miał niebawem poślubić piękną Sybillę, w której był nieprzytomnie zakochany. Jednak pewnego wieczoru na przyjęciu w Londynie słynny chiromanta wywróżył mu z ręki, że dopuści się wkrótce zbrodni. Zrozpaczony lord błąka się całą noc, po czym przesuwając termin ślubu. Musi się uwolnić od tego koszmarnego zadania, zanim zwiąże swój los z losem tej, którą kocha. Nie będziemy tu opisywać dalszych perypetii angielskiego szlachcica, któremu przyszło się zmagać ze sprzecznymi nakazami obowiązku, etykiety i miłości, żeby nie pozbawiać przyjemności lektury licznych, miejmy nadzieję, przyszłych czytelników książki.

I pomyśleć, że śmiałem się kiedyś z biednego lorda Artura! – stwierdził w duchu Neville, zamykając książkę. – Na dodatek moja sytuacja jest o wiele gorsza niż jego. On dowiedział się tylko, że będzie musiał kogoś zabić. A to może się zdarzyć każdemu, można to zrobić przypadkiem i może się to stać z tysiąca łatwych do usprawiedliwienia powodów. Ja mam zabić jednego z gości na przyjęciu, które sam wydaję!

Hrabia, który przez czterdzieści dwa lata kierował Ravensteinem, był mistrzem w podejmowaniu gości. Jego obowiązki w klubie polegały przede wszystkim na organizowaniu koktajli: bywało się w Ravensteinie, nawet jeśli golf nic człowieka nie obchodził. Umówienie się na spotkanie w tym miejscu uchodziło za szczyt elegancji. Klubowa restauracja cieszyła się wielką renomą, atmosfera w barze miała staroświecki wdzięk. Ale główną atrakcją były ogrody, a Neville okazał się mistrzem w dość szczególnej dyscyplinie, jaką jest organizacja garden party.

Pod koniec kariery obliczył, że przyjmował na nich co miesiąc około tysiąca osób. Nic więc dziwnego, że postać gościa stała się dlań przedmiotem prawdziwego kultu. Goście ogrodowych przyjęć zasługiwali w jego oczach na miano wybrańców ludzkiego gatunku.

Gość był kimś, kogo od niepamiętnych czasów wyczekiwano, szykowano się do jego wizyty z najwyższą pieczołowitością: trzeba było wcześniej pomyśleć, co sprawi mu przyjemność i jak uniknąć wszystkiego, co mogłoby mu wyrządzić choćby drobną przykrość. A więc trzeba było go dobrze poznać, zebrać informacje na jego temat, ale nie posuwać się zbyt daleko, żeby nie wyglądało to na niestosowne wścibstwo.

Już sam wybór potraw czy uwzględnienie zróżnicowanych gustów nie należały do łatwych. Ale najistotniejszy był dobór towarzystwa: goście musieli do siebie idealnie pasować. Materia była nad wyraz delikatna: czasem mogło się wydawać, że ktoś ucieszy się z obecności jakiejś osoby, a tu nagle okazywało się na przyjęciu, że się nawzajem nie znoszą – bądź dlatego, że to uczucie objawiło się zniechęca, bądź dlatego, że uwadze gospodarza umknęło jakieś zdarzenie z ich wzajemnych relacji, co samo w sobie było błędem.

Wszystko to upodobiało gościa do kogoś w rodzaju mesjasza. Hołd, który mu oddawano, był czymś bardziej skomplikowanym niż kult otaczający Chrystusa. O ile przykazania boskie były stosunkowo jasne, o tyle „przykazania” dotyczące gościa zawsze jakoś umykały uwadze nawet najbardziej zapobiegliwego gospodarza, który w razie uchybienia nie mógł liczyć na pobłażliwy osąd. Gdybyśmy rzucili niewinnie: „Czytał pan ostatnią powieść Modiano, drogi przyjacielu?”, moglibyśmy usłyszeć w odpowiedzi: „No wie pan, ileż to razy panu mówiłem, że nie czytuję powieści”. Było to jak wytknięcie grzechu zapomnienia: nie pamiętaliśmy wcześniejszej rozmowy. Gdy tego rodzaju nietakt zdarzał się zbyt

często, kara była nieuchronna: gość zaczynał przejawiać niezadowolenie. Miał zastrzeżenia do wydanego przez nas przyjęcia, a może nawet do nas samych. Nie przygotowaliśmy się dostatecznie starannie do jego odwiedzin, ten brak taktu mógł się dla nas okazać zgubny: będziemy mogli uznać się za szczęściarzy, jeśli przyjmie nasze następne zaproszenie. Jeszcze kilka takich błędów i otrzymamy przykry bilecik: „Baron F. de C. uprzejmie dziękuje za Pańskie miłe zaproszenie. Niestety, wcześniejsze zobowiązania nie pozwalają mu go przyjąć...”. A potem się dowiemy, że tego samego wieczoru, kiedy zamierzaliśmy go u siebie gościć, baron był na przyjęciu, na które zaproszenie otrzymał w ostatniej chwili.

Hrabia oburzał się, słysząc, że nazywa się kogoś „prominentnym gościem”. Ten straszny pleonazm oznaczał, że innemu gościowi można przyznać gorszy status. Oczywiście wiedział, że nie przyjmuje się króla tak jak przyjaciół z dzieciństwa. Mimo to starał się wszystkich w równym stopniu darzyć względami należnymi ongiś starożytnym władcom.

Na szczęście jego starania nie poszły na marne. Osiągnął prawdziwy kunszt w sztuce zabawiania gości. Jego mistrzem nad mistrzami był w tych sprawach król Baudouin, którego podjął w Ravensteinie na początku lat osiemdziesiątych. Tamtego pamiętnego wieczoru bacznie się przyglądał zachowaniu króla. Król traktował każdego tak, jakby miał do czynienia z osobą, którą od dawien dawna pragnął poznać: wsłuchiwał się w jego słowa z niebywałą życzliwością. Neville był poruszony tak szlachetnym przejawem szacunku dla wszystkich i obiecał sobie, że na nikim innym nie będzie się wzorował, nie dlatego, by liczył, że zdoła doścignąć monarchę, lecz dlatego, że dane mu było ujrzeć z bliska wyrocznie w sprawach ogłady towarzyskiej.

Niespodziewana przepowiednia Rosalby Portenduère przekreślała ostatecznie jego nadzieje i niweczyła kunszt. Czuł się trochę jak szef kuchni, którego uprzedzono, że w najbliższym czasie zepsuje potrawę, dzięki której przeszedł do legendy. Gorzej jeszcze: że poda do stołu zatrute danie i w ten sposób uśmierci gwiazdę krytyki kulinarnej.

Gdyby któryś z przyjaciół Neville’a usłyszał podobną przepowiednię i mu o niej opowiedział, hrabia wybuchnąłby śmiechem i stwierdził z głębokim przekonaniem, że nie wierzy w takie babskie gadanie. Niestety, był pod tym względem taki jak prawie każdy z nas: nie wierzył w przepowiednie, z wyjątkiem tych, które dotyczyły jego samego. Nawet sceptyk o najbardziej kartezyjskim umyśle wierzy w swój horoskop.

– Czego ja się dowiaduję? – powiedziała Aleksandra, wchodząc do gabinetu męża. – Sérieuse uciekła z domu?

– Przed chwilą widziałem ją przez okno.

– Nie teraz. Ostatniej nocy. Nie udawaj, że nie wiesz, Henryku. Właśnie dzwoniła do mnie wróżka.

- Co za jędza!
- Dlaczego? Bo uratowała naszą córkę?
- Wcale jej nie uratowała. Sérieuse chciała się przekonać, jak to jest spędzić noc pod gołym niebem.
- Tylko mi nie mów, że pochwalasz tego rodzaju pomysły.
- Ale i nie potępiam. W jej wieku robiłem podobne rzeczy.
- To niebezpieczne.
- O wiele mniej niż wyjście do miasta. Szkoda, że kiedy wreszcie Sérieuse zachowuje się, jak przystało na jej wiek, jakaś pani Portenduère jej w tym przeszkadza.
- Wolałbyś, żeby mała spędziła całą noc w lesie?
- Tak. Bo to kształtuje charakter i ma w sobie coś z poezji. Babsko dzwoni do mnie rano i informuje o ucieczce naszego dziecka! Toż to nonsens!
- Nie zaniepokoiłeś się?
- Oczywiście, że się zaniepokoiłem. Słyszysz „ucieczka” i od razu wyobrażasz sobie najgorsze. Sérieuse opowiedziała mi własną wersję zdarzeń. Nie słuchaj, proszę, tej wróżki. Tristan i Izolda byli w wieku naszej córki, kiedy spotykali się nocą w lesie.
- Żeby chociaż znalazł się jakiś Tristan!
- Przyjdzie na to czas.

Aleksandra wyszła z gabinetu, wzdychając.

I hrabia, i hrabina bardzo się rozczarowali młodszą córką. Przecież to ona była kiedyś źródłem ich największej dumy. Niestłuchanie żywą, inteligentną i radosną dziewczynką. Może nie tak urodziwą jak starsze rodzeństwo, ale wspaniałą. Przynosiła ze szkoły rewelacyjne stopnie, wygłaszała śmiałe sądy, pisała i wystawiała sztuki teatralne, w których obsadzała kolegów i koleżanki z klasy, wydawało się, że bezgranicznie kocha życie.

Na dodatek darzyła czułością bliskich, nie szczędziła pieszczot rodzicom i siostrze, wesoło przekomarzała się z bratem, krótko mówiąc, była wyjątkowo czarującym dzieckiem, któremu wróżono niezwykłą przyszłość.

I oto nagle, bez wyraźnego powodu, w wieku dwunastu i pół roku, z dnia na dzień przygasła. Zamilkła. Stała się ponurym, lęklwym odludkiem, pozbawionym chęci do życia. Nie miała już w szkole świetnych ocen, była przeciętną uczennicą. Co gorsza, przestała się chyba czymkolwiek interesować. Nie wychodziła ze swojego pokoju, czytała w kółko klasyków z pustym wyrazem twarzy.

Aleksandra zapytała córkę, czy coś się jej stało. Sérieuse zaprzeczyła ze znużoną miną. Ponieważ matka dalej próbowała się czegoś dowiedzieć, odparła w końcu, że męczy ją dorastanie. Hrabina nie drążyła więcej tematu, powtórzyła te słowa mężowi.

- Co o tym sądzisz? Czasem dorastające dzieci zmieniają się na niekorzyść.

Moja siostra Beatrycze do ukończenia dwunastu lat była rozbrykaną, zabawną, rezolutną dziewczynką. W okresie dojrzewania, podobnie jak nasza Sérieuse, stała się ponurą osobą, jaką znasz.

Henryk zdziwił się, słysząc, jak niefrasobliwie żona mówi o tej przemianie. Struchlał na myśl, że jego ukochana córka miałyby wyrosnąć na istotę o depresyjnych skłonnościach, podobną do ciotki. Wolał nie kontynuować rozmowy i zachować nadzieję, że Sérieuse zdoła się uchronić przed czymś, co wyglądało na przekleństwo. Dlatego zresztą podszedł z życzliwością do jej rzekomej ucieczki. Po raz pierwszy od pięciu lat nastolatka dawała znaki życia. Chciał dostrzec w tym jakieś przebudzenie.

Ta wróżka naprawdę działała mu na nerwy: nie pozwoliła Sérieuse przeżyć do końca przygody, przepowiedziała mu, że zabije na garden party jednego z gości, zadzwoniła do Aleksandry z wiadomością, że jej córka uciekła z domu. Dlaczego tak się do wszystkiego wtrąca? Nikt jej o nic nie prosił.

Poirytowany, sięgnął po bilecik i napisał do Rosalby Portenduère:

*Szanowna Pani,*

*Zadzwoń Pani do mojej żony. Bylbym wdzięczny, gdyby Pani tego więcej nie robiła.*

*Ponadto gdyby ponownie zdarzyło się Pani spotkać moją córkę w lesie, proszę przyjąć do wiadomości, że robi to za moją zgodą, i dać jej spokój.*

*Dodam jeszcze, że nie życzę sobie słuchać Pani przepowiedni.*

*Żegnam Panią.*

*Zirytowany frustrat*

*Henryk Neville*

Wysłał ów list z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku.

Po co wymyślono piekło, skoro istnieje coś takiego jak bezsenność?, zastanawiał się hrabia.

Położył się o północy, godzinę później obudził się zlany lodowatym potem i już nie zasnął. O czwartej nad ranem, dręczony niepokojem, wstał, narzucił na piżamę płaszcz i wyszedł. Z jakim żalem będę kiedyś wspominał ten dzień! – myślał. – Jest październik, mój ostatni miesiąc w Pluvier. Gdybym był choć trochę mniej przywiązany do tej przeklętej budowli!...

Przeszedł do końca parku i usiadł na ławce mokrej od rosy. Przed nim, w ciemnościach, stał zamek. Znał go tak dobrze, że widział go wyraźniej niż po wschodzie słońca. Tak, moja pierwsza miłości – przemówił do niego w myślach – porzucę cię. Gdybym nie był człowiekiem aż tak uczciwym, miałbym tysiąc okazji, by zbić majątek, i nie musiałbym cię sprzedawać. Wiem, wszyscy uważają, że jestem śmieszny, ale według mnie honor wyklucza kradzież.

W mrocznym parku otaczały go tajemnicze cienie, które w dzieciństwie



kojarzyły mu się z wojownikami. Przydałaby mu się dziś taka armia, żeby przeszkodzić najeźdźcom w dewastacji tych świętych miejsc.

Życie na zamku! – kontynuował wewnętrzny monolog. – Gdyby ludzie wiedzieli, co to naprawdę znaczy! Przez ciebie, mój miły, do ukończenia osiemnastu lat przymierałem głodem, każdej zimy konałem z zimna, a Bóg mi świadkiem, że zimy trwają tu aż pół roku! Słusznie się mówi, że nienawiść i miłość coś ze sobą łączy. Nienawidziłem cię, kiedy zimą 1958 roku moja siostra Luiza zmarła prawie nie leczona, miałem dwanaście lat, ona czternaście, nie wolno nam było wymieniać nazwy jej choroby, niedożywienie i zimno zrobiły swoje, jej stan się pogorszył, dopóki nie dorosłem, ani razu nie jadłem czerwonego mięsa, jednak nie to złamało mi serce. Mój ojciec, Alkasyn, kochał Luizę do szaleństwa, lecz nie potrafił zmienić trybu życia, zaprzestać poświęcania wszystkiego dla pozorów, podejmowania z przepychem raz w miesiącu śmietanki belgijskiej szlachty, nawet gdyby trzeba było w zamian klepać na co dzień biedę.

Przypomniał sobie, przejęty dreszczem, rodzinę zebraną wokół lodowatego ciała Luizy, łkającą matkę, młodsze siostry, które patrzyły na to wszystko, niczego nie rozumiejąc, i zapłakanego ojca, który mu wtedy powiedział: „Teraz ty jesteś moim najstarszym dzieckiem”.

Nie jestem taki jak Alkasyn – mówił w duchu dalej. – To prawda, nie potrafię się obyć bez wydawania wykwintnych przyjęć, ale nigdy nie robiłem tego kosztem twoim ani za cenę niedostatku moich bliskich. Po śmierci Luizy starałem się, mój miły, zabójco mojej siostry, obrzydzić cię sobie, ale bez powodzenia. Mieszkać w twoich murach to nie tylko tu żyć, to także cię bronić: bronić tak, jak oblężeni bronią twierdzy. Oto co zrozumiałem w wieku dwunastu lat. Luizę zabrała śmierć w trakcie boju, który trwał nieprzerwanie, odkąd Neville’owie zapragnęli pojąć zamek i majątek Pluvier. Ja wytrzymałem oblężenie, w którym żyłem od dnia narodzin aż do dziś. Mając sześćdziesiąt osiem lat, przegrywam wojnę, którą rozpoczęli przede mną inni.

A przecież kochał spędzone tu dzieciństwo. Jakże chętnie bawili się z Luizą w podziemnych korytarzach, buszowali w ogromnym lesie. Alkasyn był adwokatem. Wsławił się obroną pewnej trucicielki przed sądem przysięgłych w Arlon. W słynnej już mowie procesowej użył niecodziennego argumentu: „Panowie sędziowie, jestem przekonany o niewinności tej kobiety i daję wam na to dowód: jeśli ją ułaskawicie, zatrudnię ją jako kucharkę moich czworga dzieci, oświadczam wam pod przysięgą”.

Oślupiali przysięgli orzekli jednogłośnie, że oskarżona jest niewinna. Alkasyn dotrzymał słowa: Carmen Euvelot została nadworną kucharką na zamku Pluvier. Funkcja była wprawdzie prestiżowa, ale na pewno nie absorbująca: nie było prawie nic do gotowania. Neville’owie żyli o suchym chlebie i wodzie – to nie jest żadna metafora. Raz w miesiącu Carmen przygotowywała wykwintne ptifurki

na wystawne garden party. Serce ją bolało na widok czwórki osłabłych z głodu dzieci przyglądających się kanapkom, których nie wolno im było tknąć.

Goście na przyjęciach podziwiali smukłe sylwetki gospodarzy. Alkasyn mówił na to bez cienia wstydu:

– To u nas rodzinne. Dobra krew nie kłamie.

Nie przeszkadzało mu, że jego słowom przeczyły wiszące wszędzie na ścianach portrety grubych, wręcz opasłych przodków.

Henryk wspominał jednak te rauty z niekłamany zachwytem, bo po wyjściu gości dzieciom wolno było rzucić się na resztki jedzenia. To była istna uczta.

Do ukończenia osiemnastu lat jajka, ryby czy szynkę jadł wyłącznie raz w miesiącu, na kanapkach. To były dla niego prawdziwe frykasy, śnił o nich po nocach.

Pamiętał jeszcze słowa Luizy:

– Weź z łososem i z szynką, ja wolę z jajkiem!

Jeszcze długo po jej śmierci unikał jedzenia kanapek z jajkiem, zastrzeżonych kiedyś dla starszej siostry, po której czuł się jak osierocony.

Gdy miał osiemnaście lat, wyjechał na studia prawnicze do Namur. W stołowce odkrył, że można się objadać daniami, o których istnieniu nie miał wcześniej pojęcia, i nie odmawiał ich sobie. Koledzy patrzyli na niego z pogardą:

– Jak możesz obżerać się tym świństwem, nawet psy by tego nie zjadły!

Henryk nie przejmował się ich uwagami. Uczucie nasycenia warto było okupić paroma kpinami. To w tamtym właśnie czasie ładnie się zaokrąglił. I tak już zostało.

Ileż to razy słyszał później od obcych:

– Pan nigdy nie był głodny, nie wie pan, do czego doprowadza ludzi bieda...

Kwitował te słowa milczeniem. Alkasyn nigdy by mu nie wybaczył, gdyby wyznał prawdę. Rodzina tłumaczyła śmierć Luizy ostrym zapaleniem opon mózgowych. Zapalenie opon mózgowych miało tę zaletę, że w odróżnieniu od jakiejś paskudnej choroby nie kojarzyło się z biedą.

Podczas ostatniej bezsennej nocy wszystkie te przeżycia wróciły i zrodziły w nim coś na kształt pokusy nienawiści.

Ale kogo mam właściwie nienawidzić? – zastanawiał się. – Ojca? Zamek? Kto kim władał? Kto zabił moją siostrę? Ojciec był wytworem swojego środowiska, nie potrafił sobie wyobrazić innego życia niż to, do którego go wychowano. Jako nastolatek przeklinałem go, ale nie obrałem innej drogi niż on. Mam za sobą wspaniałą karierę, moi bliscy nie zaznali biedy. A jednak, idąc za przykładem Alkasyna, zawsze postępowałem tak, jakby przyjmowanie gości z naszych, wyższych sfer było głównym celem mego życia.

Jego ponury, małomówny, porywczy ojciec przeistaczał się podczas przyjęć

w człowieka rozmownego, elokwentnego, uśmiechniętego, czarującego; jego zalękniona matka zamieniała się nagle w kobietę światową, dobrze ubraną, swobodną w zachowaniu. Z wszystkich tych powodów, jako dziecko uwielbiał garden party. Luiza zresztą też, nazywała je dniami szaleństwa. Wślizgiwała się rano młodszemu bratu do łóżka, mówiąc:

– Wstawaj, dziś dzień szaleństwa. Włożę swoją piękną sukienkę, ty swój piękny garnitur, mama mnie uczesze. Będą świeczniki i kwiaty, będzie muzyka, będę księżniczką, a ty księciem. A kiedy goście wyjdą, objemy się przysmakami!

Henryk odziedziczył po Alkasyinie dar podejmowania gości, jak nikt inny potrafił zamienić zwykłe wydarzenie towarzyskie w magiczną przestrzeń, w której każdy, z niepojętych przyczyn, stawał się na parę godzin zachwycającą postacią, jakże odległą od tej, jaką był na co dzień.

Neville, goszcząc często u innych, bardzo szybko zdał sobie sprawę z wyjątkowości swego talentu: reszta znamienitych rodów, z wyjątkiem kilku, nie najlepiej przyjmowała gości. Ludzie byli stłoczeni w przegrzanych salonach, skazani na towarzystwo starców z portretów i jazgotliwych bab, musieli walczyć o każdy kieliszek podejrzanego wina czy o kawałek chleba i kartonowy talerzyk, na który i tak nie nakładali sobie w końcu, zniechęceni, byle jakich dań, spotykali krewnych, do których wstyd im się było przyznać. Nie bez powodu garden party na zamku Pluvier uchodziło od dawna za najważniejsze wydarzenie towarzyskie w belgijskich Ardenach: w ciągu jednego niedzielnego popołudnia można było uwierzyć, że należy się do jakiejś nierealnej zbiorowości, zasługującej na miano świata szlacheckiego, uwierzyć, że wniosły wers: „O pory roku! O zamki!” ma w sobie ziarno prawdy, że życie polega na wytwornym tańcu z tajemniczymi damami, których drobne stopy ledwie muskają murawę w ogrodach.

Henryk Neville, w odróżnieniu od swojego ojca, niczego nie udawał, wiedział, że w urzędowaniu przyjąć nie ma sobie równych: przestawał wtedy być nazbyt wrażliwym człowiekiem, który nie śmie porozmawiać z własną córką, stawał się hrabią Neville'em, szanowanym arystokratą, błyskotliwym rozmówcą o wykwinnych manierach, wybornym poczuciu humoru, zdolnym wprowadzić w dobry nastrój nawet najbardziej opornych gości.

Podejmował ich zresztą z zamiłowania.

Wiedział, jak okropną rzeczą jest nieudane przyjęcie, jaki skandal może wywołać obecność kogoś, kto nie pasuje do klimatu miejsca. Ale kiedy wszystkie obmyślane przezeń elementy widowiska stworzyły harmonijną całość, czuł niewypowiedziane szczęście, niczym choreograf, który patrzy na swój balet i dołącza do tancerzy, zachwycony, że udało mu się wyczarować piękno tam, gdzie można się było po ludzkim gatunku spodziewać najbardziej drapieżnych odruchów. Czy w związku z przepowiedzianym zabójstwem powinien odwołać garden party? Nie ma mowy. Zwłaszcza że będzie to ostatnie przyjęcie, jakie wyda. Nie

przyjmuje się gości byle gdzie: zamek Pluvier był miejscem wymarzonym, podobnie jak klub Ravenstein. Już niedługo jednak Neville nie będzie miał gdzie demonstrować swego reżyserskiego kunsztu. Na pewno nie będzie podejmował gości w Aumônière, skromnym domku z niewielkim ogrodem.

Spotkanie czwartego października 2014 roku będzie zatem jego ostatnim mistrzowskim dziełem. Chciał, niczym filmowiec, który obwieszcza, że po swoim najnowszym filmie niczego więcej nie nakręci, by jego przyjęcie przeszło do historii.

Jeśli zabijesz na przyjęciu jednego z gości, mówił sobie, rzeczywiście ten efekt osiągniesz, ale zaraz potem trafisz za kratki, to będzie, niestety, twoje ostatnie garden party. Lęk przed więzieniem był zresztą nieskończenie słabszy niż obawa przed popełnieniem nietaktu towarzyskiego.

Nagle wpadł na fenomenalny, jak mu się zdawało, pomysł: powinien już teraz zdecydować, kogo zabije. Ależ oczywiście! Wśród zaproszonych gości są zawsze tacy, za którymi się nie przepada, części wręcz się nie znosi. Zniknięcie paru z nich powitalibyśmy z rozkoszą.

Tak go uradowała ta zbawienna myśl, że wstał i wykonał parę tanecznych kroków. Wykopuję topór wojenny, pomyślał. Tymczasem wzeszło słońce. Zamek wydał mu się wspanialszy niż kiedykolwiek dotąd. Ostatni bankiet, jaki wydam w twoich ogrodach, przejdzie do historii, mój miły, szepnął, spoglądając na zamkowe mury.

Wrócił do domu, przygotował śniadanie i zaniósł je żonie na tacy.

– Jesteś najwspanialszym mężem na świecie – powiedziała, uśmiechając się do niego.

– Chciałbym być jeszcze lepszym, kochanie. Powiedz mi, czy wśród gości zaproszonych na czwartego października jest ktoś, komu życzylibyś śmierci?

– Zamierzasz komuś cofnąć zaproszenie?

– Wręcz przeciwnie.

Aleksandra usiadła na łóżku i naląła sobie filiżankę kawy.

– Kiedy w zeszłym miesiącu byliśmy na przyjęciu u Woutersów, Karol Edward van Yperstal miał czelność mi powiedzieć, że jestem jeszcze piękna. To „jeszcze” do dziś stoi mi kością w gardle.

– Co za gbur!

– Zaprosiłeś go?

– Nie miałem wyboru.

– No więc znasz moją odpowiedź.

Henryk usiadł przy biurku i zaczął przeglądać listę gości zaproszonych na czwartego października. Były wśród nich osoby, których szczerze nie znosił. Gdyby chciał postąpić po rycersku, powinien uwzględnić sugestię żony, ale Karol Edward van Yperstal wydał mu się dość sympatyczny w porównaniu z kimś takim

jak Gerard de Malmédy-Strohange czy van Steenkist de Buscheere. Zaznaczył ołówkiem nazwiska wszystkich osób, do których czuł odrazę. Policzył je – antypatycznych osobników było na liście dwudziestu pięciu. Uznał, że to i tak niewiele.

„Współkochać przysłałam, nie wspólnienawidzić”<sup>2</sup>, zacytował z rozkoszą *Antygonę* Sofoklesa. Spośród dwudziestu pięciu osób musi wybrać tę, która budzi w nim największą niechęć. Po krótkim namyśle zdecydował się na Kleofasa de Tuynena. Zamordować Kleofasa de Tuynena! Jakaż by to była ulga! Kleofas de Tuynen przez długi czas był skarbnikiem Ravensteinu i z oczywistych względów musiał uczestniczyć w wydarzeniach towarzyskich organizowanych przez Neville’a. Próbował z hrabią rywalizować, marzył o tym, by zająć jego miejsce, co było absolutnie niemożliwe ze względu na jego wiek. Kleofas mówił przez nos, nadawało to jego słowom ironiczne brzmienie, choć wcale nie miał skłonności do ironii i brał wszystko dosłownie. Mówiło mu się na przykład: „trzeba w końcu złapać króliczka”, na co on reagował: „króliczka? jakiego króliczka?”. Nie można więc było sobie z niego żartować, przez co budził jeszcze większą niechęć.

Uśmiercenie Kleofasa nada sens memu istnieniu, pomyślał hrabia. Nie popełnił wprawdzie żadnego nikczemnego czynu, ale i nie dokonał niczego wielkiego. Zabicie Kleofasa de Tuynena na ostatnim garden party na zamku Pluvier byłoby spektakularnym dopełnieniem zwycięstwa dobrego smaku i dystynkcji nad chęcią zysku i zawiścią.

Będzie się kiedyś mówiło: „Hrabia Neville, tak, Henryk Neville, ten, który wyprawił na tamten świat na wspaiałym przyjęciu obrzydliwego Kleofasa de Tuynena”. Czyż nie byłoby cudownie nadać taki rozgłos temu morderstwu? Zamiast zgładzić kogoś niecznie, cichaczem, bez fanfar, jakby się człowiek wstydził lub obawiał skutków swego czynu?

Do tej pory dręczyła hrabiego myśl o czekającym go żalonym, szarym życiu w Aumônière, teraz się od niej uwolnił. Stanie przed sądem, pójdzie do więzienia. Aleksandra będzie go tam odwiedzać, będzie go jeszcze bardziej kochała. Musiał przyznać: to on był dotąd bardziej w niej zakochany, ona go oczywiście kochała, ale wolałby, żeby omdlewała z miłości; teraz jego marzenie się spełni, już ją widział oczyma wyobraźni w rozmównicy, drżącą z emocji.

Ale jak tu zabić Kleofasa? Henryk przypomniał sobie o strzelbie Alkasyna, którą schował na najwyższej kondygnacji narożnej wieży. Strzelba z długą lufą, kaliber 22, naładowana, leżała na swoim miejscu. Ojciec nauczył go się nią posługiwać. „Szlachcic powinien polować”, mawiał. Henryk, człowiek łagodny, ani razu strzelby na polowaniu nie użył.

Przyjdę tu podczas przyjęcia i wyceluję przez okienko wieży w głowę Kleofasa, myślał teraz. Nikomu nie powinno się nic stać. Kleofas często miewał czkawkę po wypiciu kilku kieliszków szampana, odchodził wtedy na bok i czekał,

aż mu przejdzie. Wykorzysta tę chwilę i strzeli do swojego byłego skarbnika. Coraz bardziej rozgorączkowany, wyczerpany bezsenną nocą, z racji wieku z coraz większym trudem zbierający myśli, uznał swój plan za rewelacyjny. Zszedł na dół, w jednym z salonów w amfiladzie natknął się na Aleksandrę i objął ją, niezwykle poruszony.

Dwudziestodwuletni Orestes Neville miał po śmierci ojca nosić tytuł hrabiego. W oczach całej belgijskiej szlachty uchodził za wymarzonego kandydata na zięcia: przystojny, wysoki, z dyplomem inżyniera, nadzwyczaj układny, uprzejmy, pełen swady rozmówca ze skłonnością do subtelnej ironii.

Dwudziestoletnia Elektra uznawana była przez najznamienitsze rody za najlepszą partię wśród arystokratek: czarująca, smukła, pełna wdzięku, radosna, z dyplomem nauk humanistycznych, obdarzona zniewalającym poczuciem humoru i prawdziwym geniuszem kulinarnym, który demonstrowała ochoczo w zamkowych kuchniach, spędzając całe noce na wznoszeniu bezowych greckich świątyń czy opactw cysterskich z cukru pudru.

Jakby tych wszystkich cnót było mało, oboje, i Orestes, i Elektra, mogli się jeszcze pochwalić dość szczególną umiejętnością: tańczyli walca jak nikt inny w kraju. Zapraszano ich na urządzone przez szlachtę bale i na kursy tańca, na których stawiano ich innym za wzór. „Nikt nie prowadzi partnerki tak elegancko i pewnie jak Orestes, nikt nie poddaje się partnerowi w tańcu z tak powalającym wdziękiem jak Elektra”, mówił nauczyciel tańca do debiutantów. Dwójka rodzeństwa uwielbiała przywdziewać piękne stroje i tańczyć do rana w pałacach Antwerpii i w dworach Brabancji.

Nawet wystawienie Pluvier na sprzedaż nie naruszyło pozycji Orestesa: „W dniu ślubu tego chłopca wszystkie panny z wysokich sfer okryją się żałobą”, mówiono. Chyba tylko on sam się tego nie domyślał i zachowywał skromność, która dodawała mu niebywałego uroku.

Elektra cieszyła się tak powszechnym podziwem, że wydawała się przez to niedostępna. Ona też, jako jedyna, nie zdawała sobie sprawy ze swej oszałamiającej urody: jej bajecznie długie włosy w kolorze miodu kasztanowego, sylwetka tancerki baletowej i twarz Madonny upodobały ją do wróżki czarodziejki.

Dlatego właśnie Orestes i Elektra wciąż byli kawalerem i panną. Cóż bardziej normalnego w ich wieku? Tyle że na imprezach towarzyskich nikt jakoś do nich nie Ignął. Młodzi chłopcy i dziewczęta podchodzili do niepozornej Sérieuse i wyznawali jej w tajemnicy przejmującym głosem: „Ach, ten twój brat!” lub: „Ach, ta twoja siostra!”.

Odpowiadała im na to: „Czeka na ciebie”, ale nikt jej nie słuchał. Ona sama była wielką admiratorką obojga, a przede wszystkim siostry. Jej ulubionym zajęciem było przypatrywanie się Elektrze, kiedy ta robiła się na bóstwo. Chętnie

na to młodszej siostrze pozwalała. Gdy kończyła dzieło, spoglądała wyczekująco na Sérieuse, ta zaś mówiła:

– Wyjdiesz za mnie?

– Tylko ty prosisz mnie o rękę.

– Jesteś ślepa, Elektro. Wszyscy za tobą szaleją, tylko nie mają odwagi do ciebie podejść.

– Dlaczego?

– Bo ty jesteś uosobieniem ideału, a oni: przeciętności. Przyglądałam się im. Zalecają się bez ceregieli do niebrzydkich, ale niczym niewyróżniających się dziewcząt. W kółko mi mówią, jaka to ty jesteś wspaniała, a potem uderzają do jakiejś Marii Astrid albo Anny Solange, która im się akurat napatoczy.

– Kogo mi więc radzisz?

– Wyjdź za mnie.

Z Orestesem było inaczej, to przecież do niego należała inicjatywa. Gdy podchodził do jakiejś panny, ta natychmiast stroiła głupie miny, albo dlatego, że była z natury głupia, albo dlatego, że onieśmiała ją otaczająca go aura. Kiedy tańczył walca z Elektrą, mówił:

– Jesteś nie tylko najpiękniejsza, ale i najmądrzejsza. Chcesz za mnie wyjść?

– Nikt nie chce mnie poślubić, oprócz mojego brata i mojej siostry.

– Powinniśmy wziąć ślub we troje.

– Nie jestem pewna, czy Sérieuse cię zechce.

– Ja też nie jestem pewien, czy chciałbym ją poślubić.

– Chyba nie zamierzasz wyzłośliwiać się nad młodszą siostrą.

– Szkoda, że nie jest brzydka, to by jej przydało jakiegoś charakteru.

– Daj spokój. Czego jak czego, ale charakteru to jej nie brak.

– Trudno go dostrzec.

– Sam jednak przyznajesz, że nie jest brzydka.

– Piękna też nie jest.

– Ma dopiero siedemnaście lat.

– Ty już jako szesnastolatka byłaś zabójczo piękna.

– Kiedyś nas zadziwi.

– Chcesz powiedzieć, że przestanie mieć ten pusty wyraz twarzy?

– Przy mnie takiego nie ma.

– Nie spędzi z tobą całego życia.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Przestań mówić jak jakaś ofiara losu.

Elektra nie miałaby chyba nic przeciwko temu, żeby spędzić życie z Sérieuse. Ilekroć wdawała się we flirt – zaledwie parę razy – z jakimś Jehanem Sébastienem czy Pelléasem, zawsze się jej to wydawało śmiertelnie nudne. Za to z młodszą siostrą bawiła się doskonale. Zauważyła, podobnie jak inni, że Sérieuse

całkowicie się zmieniała w wieku dwunastu i pół roku, ale nie uważała, żeby stała się przez to osobą mniej interesującą.

Pomysł, którym hrabia Neville tak się upajał tego ranka, po południu wydał mu się niefortunny. Że Kleofas zasługuje na śmierć, było dla niego jasne. Ale to jeszcze nie znaczyło, że powinien pozbawić go życia na przyjęciu! I jak w ogóle mógł pomyśleć, że Aleksandra będzie go za to podziwiał?

Chcąc ostatecznie sprawę rozstrzygnąć, zadzwonił do Évrarda Schwingena, który miał w małym palcu dzieje belgijskiej arystokracji od 1830 roku.

– Drogi Évrardzie, zechciej mnie oświecić. Czy w naszych sferach doszło kiedykolwiek do zabójstwa na przyjęciu?

– Było niemało takich przypadków. Nie będę w stanie wszystkich ich wymienić, drogi Henryku.

– Jeden ważny szczegół: czy zdarzyło się, że zabójcą był gospodarz?

– Oczywiście. Książę de Retors-Carosse na przykład zabił diuka de Moilanweza na koktajlu, który wydał z okazji Święta Króla, baronowa de Bernach zabiła wicehrabinę de Lambertye na balu charytatywnym, którego była gospodynią. Były też inne podobne przypadki. Rzadziej się zdarzało, żeby gość zabijał gospodarza, trudniej by to było usprawiedliwić. Z o wiele większą wyrozumiałością traktuje się gospodarza, który zabija gościa.

– Chcesz powiedzieć, że zabójca nie poniósł żadnych konsekwencji?

– A jak myślisz? Oczywiście, że poniósł. Sąd wymierzył mu surową karę.

– Chodziło mi o to, jak zostało to odebrane. Jak potraktowano zabójców w towarzystwie?

– No cóż, okazano im wyrozumiałość i dalej przyjmowano u siebie ich i ich rodziny.

– Jak można przyjmować kogoś, kto siedzi w więzieniu lub stoi na szafocie?

– Wysyłając zaproszenie na jego nazwisko.

Henryk zamilkł, oszołomiony.

– To nie wszystko – powiedział po chwili. – Chciałbym, żebyś mnie oświecił w jeszcze jednej sprawie. Czy sprawcy wspomnianych przez ciebie morderstw działali z premedytacją?

– Oczywiście, że nie.

– Dlaczego oczywiście?

– Uznano by to za rzecz niedopuszczalną. Zabójstwo gościa w chwili gniewu to coś całkiem innego, świadczy o pewnej klasie, o poczuciu smaku. Zabójstwo umyślne dowodzi skrajnego nieokrziesania sprawcy, kompletnej nieznamomości sztuki podejmowania gości.

– Mógłbyś mi podać jakiś przykład?

– Z naszych sfer? Chyba żartujesz, drogi Henryku.



– A jeśli za jednym z czynów, o których mówiłeś, kryła się premedytacja?  
– Premedytacji nie da się ukryć. Ktoś, kto zabija z rozmysłem, robi to inaczej niż ten, kto zabija w afekcie. Nie ma nic prostszego niż udowodnienie komuś umyślnego działania.

– Co by się zatem stało, gdyby któryś z nas zabił swojego gościa z premedytacją?

– Wiesz to równie dobrze jak ja: przestano by go znać. Przestano by zapraszać do siebie jego i jego bliską rodzinę.

Neville oniemiał, słysząc, jak surowa miałyby to być kara.

– Skąd te pytania, drogi Henryku?

– Jak wiesz, urządzam w najbliższą niedzielę garden party. I miałem zamiar cię zabić, drogi Évrardzie.

– Cały ty! Do zobaczenia w niedzielę, mój drogi, cieszę się, że się znowu spotkamy.

Neville odłożył słuchawkę, ukrył twarz w dłoniach i porzucił myśl o zabójstwie Kleofasa de Tuynena.

Znalazłem się w punkcie wyjścia. Co za sytuacja! Jeden wielki koszmar! – myślał z rozpaczą.

Jako ośmioletni chłopiec, Henryk zadał ojcu straszne pytanie. Nie zapytał: „Czy to prawda, że Mikołajem są rodzice?”. Ani: „Skąd się biorą dzieci?”. Pytanie dotyczyło poważniejszej kwestii: „Co to znaczy być szlachcicem, tato?”.

Alkasyn popatrzył na niego przenikliwym wzrokiem.

– A jak myślisz, synu?

– Nie wiem.

– Zastanów się.

Henryk zaryzykował:

– Mieszkać w zamku?

– Nie żartuj sobie! – odpowiedział ojciec pogardliwym tonem.

Upokorzony chłopczyk pomyślał: w takim razie po co wypruwamy sobie żyły, żeby mieszkać w Pluvier?

– Pomyśl jeszcze! – nakazał Alkasyn.

– Pochodzić z dobrej rodziny?

– To za mało.

Henryk spuścił głowę, zmieszany.

W końcu ojciec oświadczył groźnym tonem:

– Być szlachcicem, synu, nie znaczy mieć więcej praw niż inni. Znaczy mieć o wiele więcej obowiązków.

Chłopiec odszedł, wystraszony. Zwinął się w kłębek na łóżku i powtarzał sobie jak mantrę: „Być szlachcicem nie znaczy mieć więcej praw niż inni. Znaczy mieć o wiele więcej obowiązków”. Sens tych słów mu umykał, ale żarliwość,

z jaką je recytował, miała mu to wynagrodzić.

Cztery lata później umarła Luiza. To w tamtym czasie, nie zdając sobie z tego sprawy, zredefiniował na swój użytek ojcowską dewizę: „Być szlachcicem znaczy mieć mniej praw niż inni i o wiele więcej obowiązków”.

Luiza była osobą, którą kochał ponad wszystko. W szkole w miasteczku stykał się z dziećmi, które nie pochodziły ze szlacheckich sfer, a mimo to jadły do syta, mieszkwały w dobrze ogrzanych domach, chodziły do lekarza, kiedy były chore. Dlatego ich starsze rodzeństwo nie umierało. Henryk wysnuł z tego mimowolnie wniosek, że być szlachcicem znaczy musieć utracić ukochaną osobę.

Twierdzenie Alkasyna było jednak pełne dwuznaczności: gdzie kończyły się prawa, gdzie zaczynały obowiązki? Luiza umarła, bo nie miała prawa do przyzwoitego jedzenia, ciepła w domu i wizyty u lekarza; jej młodszy brat był szlachcicem, więc obowiązek nakazywał mu pogodzić się z utratą siostry.

Spośród wszystkich spoczywających na nim obowiązków ten właśnie wydawał mu się najbardziej nieludzki. Inne, choć już nie tak straszne, też go przytłaczały: trzeba było, bez względu na sytuację, sprawiać wrażenie osoby pogodnej, swobodnej w zachowaniu, uosobienia godności i zasad moralnych, słowem, stwarzać wokół siebie całą tę aurę, która składa się na wizerunek. Bardzo łatwo było tu o porażkę. Opowiadano, że państwo Carton-Treize poszli kiedyś całą rodziną zwiedzać królewskie szklarnie w Laeken; ponieważ byli bankrutami, w porze obiadu wyjęli z kieszeni owinięte w aluminiową folię kanapki i zjedli je, nie próbując się z tym kryć. Natychmiast spotkała ich za to kara: przestano ich znać.

Henryk wciąż żył w strachu, że nie zdoła zadbać o tak pojęty wizerunek. Sam nigdy nie pozwoliłby sobie na to, żeby raptem zacząć kogoś ignorować, zwłaszcza z powodu kanapek, ale godził się z myślą, że inni mogą tak postąpić wobec niego z jeszcze bardziej błahej przyczyny.

Nieustannemu lękowi towarzyszył kompleks pokoleniowy. Istniała pewna granica czasowa – tym bardziej dotkliwa, że nikt jej oficjalnie nie ustanowił – dzieląca ludzkość na dwa gatunki, które prawdopodobnie nigdy się nie zdołają porozumieć. Przyjmijmy, iż tą granicą był rok 1975, z pełną świadomością, że zależnie od kraju i środowiska mógł to być rok całkiem inny. To data dzieląca dzieci na te, które przyszły na świat, by uwodzić, i te, które narodziły się po to, by ktoś je uwodził.

Dzieci należące do minionego świata mogły liczyć jedynie na skromne przejawy troski i czułości ze strony rodziców, chyba że starały się w jakiś sposób ich uwieść; współczesne dzieci już z chwilą narodzin stawały się obiektem uwodzicielskich zabiegów rodziców, ci zaś mogli liczyć jedynie na skromne przejawy czułości z ich strony. To była prawdziwa rewolucja w podejściu do sprawy: dzieci, które w dawnym świecie traktowano jako środek prowadzący do

celu, w nowym stawały się celem najwyższym.

Henryk, urodzony w 1946 roku, należał do dawnego świata, tym bardziej że arystokracja stanowiła naturalną tamę dla tej rewolucji: zmianę podejścia do dzieci wykluczały obowiązujące w tych kręgach zasady dziedziczenia. W sferach szlacheckich dziecko wszystko zawdzięczało swojemu urodzeniu, a zatem rodzicom.

Jeden mały przykład: gdyby Alkasyn zabił na polowaniu kuropatkę, nie oznaczałoby to wcale, że dzieci dostaną na kolację drób. Carmen upiekłaby ją, podała do stołu, najpierw hrabinie, potem hrabiemu, który nakładając ją sobie na talerz, ani przez chwilę by nie pomyślał, by coś zostawić dzieciom, nie dlatego, że oboje z żoną byli złymi rodzicami, tylko dlatego, że w dawnym świecie nie przejmowano się zanadto dziećmi.

Aleksandra, urodzona w roku 1967 w rodzinie szlacheckiej, też należała do minionego świata; status ich trójki dzieci, które przyszły na świat w 1992, 1994 i 1997 roku, nie był już jednak tak jednoznaczny. Ich daty urodzenia zdawały się wskazywać na przynależność do nowego świata, ale wychowane były według staroświeckich reguł przez rodziców, którzy żyli w środowisku ślepych na rewolucyjne zmiany. Orestes i Elektra godzili się z tą dwuznacznością. Sérieuse znalazła się w potrzasku.

Do drugiego października rano Neville nie zmrużył oka. Dwie bezsenne noce z rzędu strasznie sześćdziesięcioośmiolatka wymęczyły. Gdyby chociaż miał pewność, że następnej nocy zdoła zasnąć! Ale znalazł się, jak sądził, w sytuacji bez wyjścia. Zanosilo się więc na to, że szybko się nie uwolni od bezsenności. Czwartego października będę tak wykończony, że nie będę w stanie podejmować gości ani nikogo zabić, myślał z przerażeniem.

Zamartwiał się tym, siedząc w swoim gabinecie z twarzą obrzmiałą ze zmęczenia, i nagle usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę!

Ku swemu zaskoczeniu ujrzał w nich Sérieuse.

– Możemy porozmawiać, tato?

– Oczywiście. Siadaj, kochanie.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby córka prosiła go o rozmowę w gabinecie. Uśmiechnął się.

– Słyszałam, co ci przepowiedziała wróżka, wiem, że masz wkrótce zabić jednego ze swoich gości.

Neville zamarł, zaskoczony.

– Byłam w pokoju obok, udawałam, że śpię. Wiem, co cię gnębi.

– Nic mnie nie gnębi.

– Nie śpisz po nocach, tato. To widać.

– Zawsze cierpiałem na bezsenność.

– Ale teraz to coś całkiem innego. Podśluchałam twoją rozmowę telefoniczną z Évrardem.

– Co za maniery!

– Masz rację, ale to była siła wyższa. Potrzebujesz pomocy, tato.

– Ani trochę nie wierzę w przepowiednie tej idiotki.

– Nieprawda. Wciąż się zastanawiasz, kogo zabijesz, poszedłeś nawet poszukać strzelby dziadka.

– Szpiegujesz mnie!

– Siła wyższa, już mówiłam.

– No dobrze. Jak chcesz mi pomóc?

– Jest ktoś, kogo mógłbyś zabić na garden party. Osoba, o której nie pomyślałeś.

– Słucham cię.

– Ja.

Powiedziała to tak lekkim tonem, że hrabia wybuchnął śmiechem.

– Wspaniały pomysł, kochanie. Cóż ja bym bez ciebie zrobił.

– Mówię poważnie.

– Kiepski dowcip. Dość już tego, idź sobie, mam do roboty lepsze rzeczy niż wysłuchiwanie twojej gadaniny.

– Musisz mnie zabić, tato.

– Co się z tobą dzieje?

– Odkąd usłyszałam przepowiednię, wciąż o tym myślę. Stawiam się na twoim miejscu, to musi być dla ciebie straszne. Mam rozwiązanie.

– Myślałem, że jesteś doroślejsza i mądrzejsza.

– Ty też wierzysz w tę przepowiednię, tato. Mądrość nie ma tu nic do rzeczy.

– Jak mogłaś choć przez chwilę pomyśleć, że potrafiłbym cię zabić?

– Bo czuję taką potrzebę.

Henryk spojrzał na córkę przerażony.

– Co ty opowiadasz?

– Coś jest ze mną nie tak, tato.

– Jesteś chora?

– Nie. Od paru lat coś jest nie tak z moją głową.

– Zauważyliśmy. Tak już jest w wieku dorastania. Ale to nie trwa wiecznie.

– Nie o to chodzi. Wiem, że jestem dorastającą dziewczyną. Przypomnij sobie jednak, że coś złego zaczęło się ze mną dziać, zanim weszłam w wiek dojrzwania.

– Udręki duchowe pojawiają się wcześniej, to normalne.

Dziewczyna westchnęła.

– Naprawdę jesteście wszyscy aż tak ślepi?

– O kim mówisz?

- O naszej rodzinie. W gruncie rzeczy nawet mnie ta ogólna ślepotą urząda.
- Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.
- Właśnie próbowałam ci to powiedzieć.
- Może i masz rację, że coś z tobą nie tak. Może wróżka się nie myliła, mówiąc, że potrzebujesz pomocy.
- Tak. Zabij mnie.
- Może powinnaś się kogoś poradzić. Jakiegoś psychiatry z Arlon.
- Niczego nikomu nie powiem, ani psychiatrze, ani nikomu innemu.
- Dlaczego?
- Mówienie to udręka.
- Skąd możesz wiedzieć? Nigdy nie próbowałam.
- Próbowałam rozmówić się ze sobą.
- To coś całkiem innego.
- To rzeczywiście mniej bolesne, ale i tak nie do wytrzymania. Nie mam najmniejszego zamiaru skazywać się na jeszcze gorsze cierpienia.
- Co się z tobą dzieje? Przerażasz mnie.
- Zabij mnie, tato. Spełnij dobry uczynek.
- Nie zabiję cię, kochanie, zapamiętaj to sobie raz na zawsze!
- Muszę umrzeć. Muszę.
- Popełniłabyś samobójstwo, gdyby się to okazało konieczne?
- Czyżbyś tego właśnie chciał?
- Nie! Tego nie powiedziałem. Ale skoro, jak mniemam, nie myślisz o samobójstwie, nie straciłaś ochoty do życia.
- Byłoby stokroć bardziej sprawiedliwe, gdybyś to ty mnie zabił.
- Co za bzdury!
- Walnie się przyczyniłeś do mojego przyjścia na świat, więc to ty powinieneś ten świat ode mnie uwolnić.
- Skoro przyjmujesz takie założenie, słuszniej byś zrobiła, prosząc o to matkę.
- Nie. Mama już dość się namęczyła wydaniem mnie na świat, sprawiedliwość nakazuje, byś ty też się trochę potrudził i mnie zabił.
- Co ty bredzisz! Biedne dziecko! Nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężko przeżywasz kryzys wieku dorastania.
- To dlatego, że się w ogóle nie odzywam.
- Wołałem cię milcząco. Przemówiłaś i stało się nieszczęście.
- Od ponad czterech lat wciąż się coś dzieje z moją głową. Ale to jeszcze nie najgorsze. Najgorsze jest to, że odkąd skończyłam dwanaście i pół roku, niczego już nie czuję. Dosłownie niczego. Moich pięć zmysłów doskonale działa, słyszę, widzę, czuję smaki, zapachy, dotyk, ale nie doznaję żadnych związanych z tym emocji. Nie masz pojęcia, jakie przeżywam piekło. Bernanos ma rację: zawsze

mówi się o ogniu piekielnym, tymczasem piekło to zimno. Żyję w krainie wiecznego lodu.

– A ta noc w lesie?

– Wybrałam się tam w nadziei, że poczuję prawdziwe zimno, w sensie fizycznym. Poczułam, ale nie doświadczyłam zwierzęcego lęku, który powinno ono we mnie wzbudzić.

– A tak przekonująco o tym opowiadałaś: woń lasu, sarny, uczucie coraz bardziej przejmującego zimna.

– Widocznie potrafimy opowiadać o tym, czego nie odczuwamy. Mówiłam sobie: „Jakie to piękne”, widziałam, że rzeczywiście tak jest, ale nie budziło to we mnie żadnych emocji. Kiedy zaczęło mi doskwierać zimno, powtarzałam sobie: „Zrób coś, idź stąd, zatańcz, rusz się, skoro nie możesz tego znieść”, ale moje ciało nie chciało tego słuchać. Lepiej by było, gdybym umarła tamtej nocy.

– Takie zimno, z końca września, z pewnością by cię nie zabiło.

– I dlatego ty musisz się tym zająć.

– Nie licz na to, córeczko. Zawiozę cię do lekarza, na pewno poradzi coś na twoje kłopoty.

– Już byłam u lekarza, tato. Mówiłam mu to, co tobie. Uśmiechnął się i powiedział: „Masz siedemnaście lat, moja panno. Czas się zakochać, co pewnie rychło nastąpi. Nie będziesz wtedy narzekać na brak doznań, bądź spokojna”.

– Co to za osioł?

– Lekarz jak inni. Szczytem wszystkiego było to, że próbowałam posłuchać jego zaleceń. Wzięłam pod uwagę wszystkie osoby, w których mogłabym się zakochać, z tobą włącznie. I nic.

– Tym lepiej.

– Myślę, że nie ma szans na zakochanie ten, kogo nie dotyka nawet ból.

– Mówisz o zimnie w nocy w lesie?

– Nie tylko. Próbowałam klasycznych sposobów zadawania cierpień, na przykład wbijałam sobie w przedramię ostrze noża: bolało, ale nie wywoływało żadnych innych reakcji. Kiedy indziej znów strasznie bolały mnie zęby, nie przyznałam się wam do tego, miałam nadzieję, że wreszcie osiągnie mnie jakieś uczucie, wiesz, jak na to liczyłam? I znowu nic.

– Nie byłaś taka, kiedy byłaś mała.

– Pamiętasz? Odczuwałam wszystko o wiele intensywniej niż inni. Zapachy o poranku wprawiały mnie w taki nastrój, że wstawałam codziennie o świcie. Kiedy słuchałam muzyki, musiałam przy niej tańczyć, kiedy jadłam czekoladę, tupałam z radości, nie potrafiłam inaczej.

– Więc co się potem stało?

– To nieistotne.

Zapadła cisza.

- Niczego więcej mi nie powiesz?
- Nie.
- Ale ja chcę wiedzieć więcej.
- Tak ci się tylko wydaje, ale to nieprawda.
- Mów.
- Mam prawo milczeć.
- Powiedz mi przynajmniej jedno: czy jestem złym ojcem?
- Dobrym, nie martw się. Całkiem nieświadomie wpajałeś mi zasady pewnej sztuki, która okazała się dla mnie zgubna. Czytałam niedawno Prousta. Pisze o „donżuanizmie arystokracji”<sup>3</sup>. Ładnie to ujął.
- Nie mam w sobie nic z Don Juana.
- Nie o to Proustowi chodziło. Rzecz w tym, że tak się zachowujesz wobec wszystkich: ty ich uwodzisz. To bardzo piękne, niczego od nich nie chcesz, uwodzisz ich wyłącznie po to, by mieli wrażenie, że zasługują na takie względy. To bardzo szlachetne. Widziałam, jak to robisz, chcąc nie chcąc, coś mi z tego w głowie zostało. Kłopot polega na tym, że ludzkość nie jest szlachetna. W naszych czasach, w realnym świecie, który nie jest twoim światem, kiedy dwunastolatka zachowuje się, nie wiedząc o tym, z uwodzicielskim wdziękiem, jaki przejęła od zbyt uprzejmego ojca, odbierane jest to fatalnie i powoduje pewne konsekwencje.
- Mów dalej.
- To chwila, w której bohaterka amerykańskich filmów mówi: *You don't want to know*.
- Irytujesz mnie tymi swoimi tandetnymi cytatami.
- Nie dziwię ci się, sama siebie też irytuję. Gdybyś wiedział, jak mam siebie dość!
- To się zmień. W twoim wieku można się jeszcze zmienić.
- Daję słowo, że próbowałam. Od lat czytałam, i to po parę razy, najlepsze książki, klasyków i współczesnych autorów, w nadziei, że znajdę w nich jakieś cudowne rozwiązanie. Trafiłam na prawdziwe perełki, ale nic mnie nie poruszyło. Wciąż ten lodowaty mur dzielący mnie od samej siebie. Tak bym chciała, żeby runął.
- Sama lektura nie wystarczy, żeby się zmienić. Trzeba jeszcze coś przeżyć.
- Jakie życie dla mnie zaplanowałaś, tato? Bankiety takie jak te, na które chodzą Orestes i Elektra, gdzie nie będę błyszczeć jak oni ani olśniewać ich wdziękiem? Nie interesują mnie takie spędy. I nie interesuje mnie zamążpójście, zwłaszcza gdybym miała wyjść za jednego z tych fircyków! Zresztą żaden z nich by mnie nie zechciał. Świat okazuje się czasem niezłe urządzone.
- Jesteś inteligentna, pójdiesz na studia, na uniwersytet.
- Po co?

- Żeby mieć pasjonujący zawód.
- Ktoś, kto nigdy się nie wzrusza, nigdy się niczym nie pasjonuje.
- Więc czego byś chciała w życiu? O czym marzysz?
- O niczym nie marzę, niczego nie chcę, oprócz tego, żeby wreszcie się to wszystko skończyło. Tego naprawdę gorąco pragnę.
- Skąd wiesz, że śmierć cię uszczęśliwi?
- Nie wiem. Ale przynajmniej będzie inaczej.
- Może. Ale może też być tak samo.
- Mów sobie, ile chcesz, tato. Nic nie poradzisz na tę moją obsesję. Więc zadasz mi tę śmierć czy nie?
- Nie ma mowy. Jestem twoim ojcem i cię kocham.
- Agamemnon był ojcem Ifigenii i ją kochał. A mimo to ją zabił.
- Jak wiesz, nie dałem ci na imię Ifigenia. Wyciągnij z tego wnioski.
- Wygląda na to, że kiedy nazwało się dwoje starszych dzieci Orestes i Elektra, impuls jest tak silny, że niezależnie od tego, jakie imię nada się trzeciemu, uruchamia się mechanizm maszyny losu.
- Pleciesz trzy po trzy. Nie czuję żadnego takiego impulsu.
- Los działa niezależnie od tego, co czujesz.
- Nie ma czegoś takiego jak los.
- Więc dlaczego wierzysz w przepowiednię pani Portenduère? I to tak bardzo, że jej ulegasz, że szukasz wśród swoich gości idealnej ofiary! Zmierzasz prosto do katastrofy, tato. Évrard postawił sprawę jasno, nie możesz zabić z premedytacją swojego gościa, choćby był nie wiem jak podły. Co zrobisz?
- Nie wiem. Nie twoja sprawa.
- Owszem, moja. Też nie śpię od dwóch dni. Rozważałam najrozmaitsze scenariusze. Jedyнным możliwym rozwiązaniem jest to, które podałam ci na tacy.
- Nie zgadzam się.
- Podążam za twoim tokiem myślenia, tato, i wracam do precedensów. Dziwny to zresztą sposób rozumowania, ale niech ci będzie. Nie zadzwonisz przecież do Évrarda i nie zapytasz, czy zna w naszych sferach jakiś przypadek dzieciobójstwa. Ja ci jednak mówię, że był: Agamemnon i Ifigenia. Znakomita rodzina, jak bez przerwy powtarzałeś.
- Rzeczywiście, godny naśladowania przykład. Ojciec dzieciobójca, któremu przydarzają się same potworności.
- Potworności tak, ale nie niegodziwości. Jeśli zabijesz mnie podczas przyjęcia, wszyscy uznają cię za potwora, ale nikt nie nazwie twego czynu niegodnym szlachcica. Dzieciobójstwo zasługuje na wzdarcę, ale nie świadczy o braku obycia. Nie popełnisz towarzyskiej gafy. Będą was nadal znać, ciebie, twoją żonę i twoje dzieci.
- Jakby to było takie ważne!



– Owszem, jest! Przecież to na tym najbardziej ci zależy. Musisz być dobrym ojcem nie tylko dla mnie, ale też dla Orestesa i Elektry, i dobrym mężem dla mamy. Jeśli zabijesz kogoś z gości, przestaną ich znać. Jeśli zabijesz mnie, nadal ich będą u siebie przyjmować.

– Wyobraź sobie, że chcę też być dobrym ojcem dla ciebie.

– Masz znakomitą okazję, żeby to udowodnić.

– Być dobrym ojcem nie znaczy słuchać absurdalnych żądań smarkuli, która uważa się za Antygonę.

– Za Antygonę? Ale skądże! Antygona kochała życie, ja nie.

– Krótko mówiąc, nie posłucham cię.

– Jeszcze się nie zorientowałeś, tato, że nie masz wyboru? Tak chce los. Co ma być, to będzie.

– Nawet gdyby tak było, nie byłbym zdolny do takiego czynu.

– Myślisz, że Agamemnon czuł się do tego zdolny? Nie sądzisz, że wszystko się w nim buntowało? A przecież był w gorszej sytuacji niż ty. Ifigenia nie chciała umrzeć.

– Manipulujesz mną. Jesteś potworna.

– Jeszcze jeden powód, by mnie zabić.

– Na wszystko masz odpowiedź. Jak według ciebie miałbym tego dokonać?

– Tak jak planowałeś: strzelbą myśliwską.

– Wypalić ze strzelby z długą lufą kalibru 22 własnej córce w głowę?

Wykluczone.

– Będziesz musiał. A może wolisz zrzucić mnie z narożnej wieży zamku?

– Nie. Nie mieszajmy Pluvier do tych okropieństw.

– Nie mamy trucizny, nie będziesz mógł udawać kogoś z Borgiów.

– Mam celować z góry wieży?

– Za duże ryzyko. Mógłbyś trafić kogoś innego. Nie wydaje mi się, żebyś był świetnym strzelcem, tato. Późnym popołudniem pójdziesz po strzelbę. Będę w ogrodzie z gośćmi. Przeciśniesz się przez tłum i nie tracąc czasu, strzelisz do mnie z bliska.

– W głowie się nie mieści!

– A jednak będziesz musiał to zrobić. Ilekroć poczujesz jakieś wątpliwości, powtarzaj sobie, że musisz. Nie ma mowy o żadnych odstępstwach od planu.

– Więc mnie nie kochasz?

– Owszem, Kocham.

– Gdybyś mnie kochała, nie kazałabyś mi popełnić tej podłości.

– Właśnie dlatego ci każę, że cię Kocham. To dla ciebie jedyne wyjście.

– A co z tobą?

– Już się cieszę na myśl, że wreszcie coś mnie poruszy. Gdybyś wiedział, jaką męką jest życie, w którym nic cię nie porusza!

– Jest drugi października, córeczko. Podobno mam cię... Według twojego planu ma się to stać czwartego października. Jak tymczasem żyć?

– Nie myśl o tym. Skup się jak co roku na przygotowaniach do przyjęcia.

– Jak to: nie myśl?

– Agamemnon też wcześniej wiedział, że będzie musiał złożyć w ofierze swoją ukochaną córkę. Pewnie nie różnił się zanadto od ciebie.

– On przynajmniej składał ją w ofierze.

– Jeśli ma ci to jakoś pomóc, pomyśl sobie, że ty też. No bo gdy się głębiej nad tym zastanowić, taka jest prawda: złożysz swoją córkę w ofierze.

– W imię czego ją poświęcę?

– W imię należytego funkcjonowania tego świata. W imię poczucia obowiązku, które cię przepęlnia od dnia narodzin, honoru nakazującego szacunek dla gości, pamięci o przodkach, którzy bez względu na cenę, jaką przyszło im za to zapłacić, walczyli o jego zachowanie.

– Jesteś okrutna!

– Czyżby? Zawsze wyrażałaś się jak najlepiej o ludziach, którzy nie uchylają się od swoich powinności. Możesz być pewien, że Agamemnon powtarzał sobie dzielnie, że naprawdę musi to zrobić, i że ta świadomość była dla niego wielką udawką.

Henryk ukrył twarz w dłoniach.

Sérieuse mówiła dalej:

– Chcesz, żebym ci podpisała list poświadczający moją zgodę?

– Postradałaś zmysły?

– Wręcz przeciwnie. Nie chcę, żeby cię skazano za to, że mnie zabiłeś.

– A ja chcę. Po raz pierwszy jestem za przywróceniem kary śmierci, wyłącznie dla mnie.

– Zobaczysz, tato, z czasem będziesz myślał, że podarowałeś mi coś, czego potrzebowałam. Jesteś najlepszym ojcem na świecie, bo zgadzasz się wyrwać mnie z tego kokonu nicości, w którym się duszę. Pamiętaj, czyn, którego dokonasz, będzie dowodem twojej ojcowskiej miłości!

– Zamilcz wreszcie. Jeśli nie przestaniesz mówić, zacznę cię nienawidzić. A gdy zacznę cię nienawidzić, nie starczy mi odwagi, by cię zabić.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Ostatnie zdanie uspokoiło ją: ojciec przed niczym się nie cofnie.

Aleksandra była najszcześniejszą istotą, jaką można sobie wyobrazić. Potrafiła we wszystkim dostrzec dobre strony. Nie znosiła biadolenia, zwłaszcza jeśli niczemu nie służyło, co zdarzało się dość często.

– Co za ludzie! Wracają z Wenecji i mówią, że miasto coraz bardziej zanurza się w wodzie! Mówią to z wielce poważną miną, jakbyśmy o tym nie wiedzieli, jakbyśmy mogli cokolwiek na to poradzić! To nieznośne!

Toteż kiedy ktoś zaczynał przy niej mówić o słońcu, które za miliardy lat zgaśnie, o młodzieży, która nie rozstaje się z komputerem, czy o głodnych niedźwiedziach, które patrzą w zadumie na kurczącą się ławicę lodową, uciniała rozmowę, oświadczając z promiennym uśmiechem:

– Wenecja się zanurza!

Ludzie patrzyli na siebie stropieni, zastanawiając się, jaki to może mieć związek z ich słowami, nie pojmując, dlaczego groźba zalania Wenecji wprawia hrabinę w tak radosny nastrój. Ku swemu niezadowoleniu, tracili wątek. Hrabina wykorzystywała sytuację i zmieniała temat.

Nigdy nie tragizowała. Rozróżniała dwa rodzaje rozmów: nudne i pozostałe. Nużyło ją rozprawianie o nieuchronnych katastrofach, wieszczenie niechybnych nieszczęść.

Jej dzieci nauczyły się nieomylnie odczytywać oznaki znużenia z pięknej twarzy matki, same więc przerywały takie nieznośne wywody stanowczym: „Wenecja się zanurza!”.

Gość spoglądał wtedy zaniepokojony na Aleksandrę, ta zaś mówiła:

– Nie wiem, co im się stało. Dorastanie to tajemniczy wiek. Jak tam państwa dzieci, drodzy państwo?

Kiedy sytuacja finansowa rodziny zaczęła się gwałtownie pogarszać, Henryk wyznał żonie smutną prawdę. Przyjęła to do wiadomości i bez cienia skargi zgodziła się na drastyczne ograniczenie wydatków. Sprzedane zostały apartament w Brukseli i aston martin hrabiny, która chyba nawet nie zauważyła tych zmian.

Na początku 2014 roku Neville oświadczył żonie, że mimo ich wspólnych wysiłków trzeba będzie sprzedać zamek: nie ma innego wyjścia. Rozpoczął rzewną przemowę, nie kryjąc wielkiego przygnębienia. Żona przerwała mu:

– Wenecja się zanurza!

– Ale... chyba też ci żal, że tracimy Pluvier?

– A skąd wiesz, że mnie nie martwi, że Wenecja się zanurza?

Nawet nie wiedziałem, jak niewiele się myliłem, orzekając, że rok 2014 to rok straszny, pomyślał Henryk, gdy Sérieuse wyszła z gabinetu. Zazwyczaj, kiedy stawał przed jakimś poważnym problemem, naradzał się z żoną. Ale tym razem nie mógł. Córka przedstawiła mu zabójstwo, którego miał dokonać, jako rzecz tak nieuchronną, że powiedział do siebie:

– Wenecja się zanurza!

Nie zabrzmiało to w jego ustach tak komicznie i zuchwale jak w wydaniu Aleksandry.

Jak przestać o tym myśleć? Przypomniawszy sobie, że kiedy przepłakał cały miesiąc po śmierci Luizy, Alkasyn kazał mu natychmiast z tym skończyć.

– Nie potrafię – odparł chłopiec przez łzy.

– Zabraniam ci o niej myśleć. Jasne? – powiedział Alkasyn straszonym

głosem.

Ojcowski autorytet pomógł mu pokonać słabość. Sześćdziesięcioośmioletni Henryk odgrzebał w pamięci głos ojca i zabronił sobie rozmyślań o zabójstwie, którego miał dokonać. Zabieg odniósł natychmiastowy skutek.

Wrócił jednak od razu, i to z przemożną siłą, temat tabu, hrabia nie był już w stanie dłużej się przed nim bronić. Zaczął rozmyślać o śmierci Luizy i dał upust rozpaczy, którą w sobie tłumił od blisko sześćdziesięciu lat. Rozplakał się, nie próbując nawet powstrzymać łez. Nie wiedziałem, że ich tyle mam, pomyślał, nie przestając szlochać.

Uderzyło go podobieństwo sytuacji: chociaż Alkasyn nie zabił Luizy, nie sposób było zaprzeczyć, że nie zachowywał się jak ojciec, który pragnie uratować córkę. Tylko raz przyszedł do złożonej chorobą nastolatki lekarz, który orzekł, że musi jak najszybciej zmienić klimat:

– Potrzebne jej ciepło i słońce, inaczej nie wyzdrowieje.

I na tym się skończyło. Alkasyn nie miał dostatecznych środków, by wysłać córkę na Południe. Sprzedaż zamku na pokrycie kosztów leczenia nie wchodziła w rachubę. Henryk nie był nawet pewien, czy ojciec choć przez chwilę rozważał takie wyjście. Z pewnością nie. To było coś, co nie mieściło mu się w głowie.

Znalazł się teraz w takim samym ślepych zaułku jak on. Z tą tylko różnicą, że ojciec nie zadawał sobie żadnych pytań. „Byłeś szczęśliwym człowiekiem – zwrócił się do niego w myślach. – Nie wiedziałeś nawet, że byłeś zabójcą ukochanej córki! A twoje otoczenie przymknęło oczy na tę nikczemność, dalej cię znało i przyjmowało, twoje nazwisko do dziś budzi szacunek!”

Ponieważ nie chciał posuwać się dalej w porównaniach, myśląc o smutnym losie, jaki go czeka, odtworzył w pamięci twarz Luizy na łożu śmierci. Uderzyło go coś, co wcześniej mu umknęło: siedemnastoletnia Sérieuse przypominała Luizę spoczywającą w trumnie.

Luiza była za życia o wiele ładniejsza niż Sérieuse. Po śmierci jej twarz nabrała twardego, pozbawionego wdzięku wyrazu. Tak wyglądała Sérieuse, odkąd skończyła dwanaście lat, pomyślał.

Próbował sobie przypomnieć, jaka była jego córka w dzieciństwie: nie wyróżniała się jakąś szczególną urodą, za to kipiała życiem. Luiza też była taka. Wyładniała w wieku trzynastu lat, mniej więcej wtedy, kiedy Sérieuse przygasła. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości: między dwiema dziewczynkami istniało intrygujące podobieństwo.

Straciłem już raz i stracę po raz wtóry młode dziewczę, które kocham, za pierwszym razem jako świadek dramatu, za drugim jako winowajca, myślał z rozpaczą.

W tym momencie rozległo się pohukiwanie sowy. Matka zawsze mu mówiła: „Gdy pohukuje sowa, myślisz właściwie”. Niewiele się posunąłem do

przodu – uznał. – Nie jestem jeszcze winowajcą. A może już jestem? W którym momencie się nim stałem? Czy naprawdę nadanie starszym dzieciom imion Orestes i Elektra było kuszeniem losu?

Starął się sobie przypomnieć, co mówiła mu Sérieuse na temat swoich dwunastu lat. Nic z tego nie zrozumiałem. Zresztą o to jej chodziło. Ta mała wyczynia ze mną, co chce, pomyślał.

Następnej nocy do trzeciej nad ranem Henryk nie zmrużył oka.

Na próżno zabraniam sobie myślenia o tym, coś i tak we mnie o tym myśli. Czy wytrzymam trzy kolejne nieprzespane noce? – dręczył się.

Bezsenna to jedna wielka tajemnica. Bo w gruncie rzeczy dlaczego miałoby być męczarnią długie leżenie w wygodnym łóżku, choćby bez snu? Dlaczego nachodzą wtedy człowieka okropne myśli? Wy tłumaczenie jest jedno: bezsenna to długotrwałe wspólne więzienie z najgorszym wrogiem. Przeklętą częścią naszego ja. Nie wszyscy ją w sobie mają. I dlatego nie wszyscy wiedzą, czym jest bezsenna.

Tym groźniejsze to przekleństwo, że dotyka ludzi zanurzonych w ciemności, a więc niemających szans na zaczepienie na czymś wzroku. Lekarze radzą, by w razie bezsenności wstać i czymś się zająć. Jakby nie wiedzieli, że to często kolejna nieprzespana noc i że człowiek jest wówczas zbyt zmęczony, by zainteresować się czymkolwiek.

Wyczerpany Henryk z trudem walczył z prześladowającą go myślą. Ale o wpół do czwartej nad ranem doznał olśnienia. Przepowiednia wróżki brzmiała: „Zabije pan na przyjęciu jednego z gości”. A przecież Sérieuse nie będzie gościem. Jest domownikiem. Więc nie może być ofiarą.

Zachwycony tym odkryciem, Neville odetchnął z ulgą. Przestał się wreszcie zadreć i zasnął.

Cierpiący na bezsenna rozkoszują się snem bardziej niż inni: przynajmniej wiedzą, że śpią, kiedy śpią.

Obudził się o dziesiątej rano i dalej leżał w łóżku z błogim uczuciem, że z jego ciała powoli ulatuje zmęczenie. Nic Sérieuse nie powiem – postanowił. – Ta wstrętna smarkula gotowa jest znów namieszać mi w głowie swoimi pokrętnymi pomysłami. Więc kogo jutro zabiję? Pierwszego lepszego z gości. W ten sposób nikt nie będzie mógł mnie oskarżyć o działanie z premedytacją. Ubawiła go ta myśl, wstał z łóżka w wyśmienitym humorze.

Aleksandra dotrzymała mu towarzystwa przy śniadaniu. Była wspaniała pogoda.

– Jak powiedział Vialatte, pogodą rządzi jedno prawo: w dziewięćdziesięciu procentach przypadków jest taka sama jak dzień wcześniej. A więc jutro na garden party będzie przepięknie.

– Zamówiłeś szampana, kochanie?

– Tak. Przywiozą jutro w południe, pamiętam o tym.

Zacząli omawiać rozmaite szczegóły związane z przyjęciem i nie zauważyli, że przez uchylone drzwi obserwuje ich Sérieuse. Henryk miał minę niewiniątka, nie zadbał o odpowiedni wyraz twarzy. Był szczerze uradowany. Nie umknęło to uwadze córki.

Koło piętnastej Neville krzątał się w kuchni: wyjmował z kartonów kieliszki do szampana i sprawdzał, czy są czyste. Oglądał pod światło każdy z nich, a gdy dostrzegł jakiś ślad palca, zanurzał naczynko w gorącej wodzie bez mydła. Dołączyła do niego Sérieuse.

– Mogę ci pomóc, tato?

– Tak, kochanie. Kiedy skończysz z jednym kieliszkiem, postaw go na tacy i weź następny.

Pracowali oboje w milczeniu.

Henryk nie przeczuwał niebezpieczeństwa.

– O wiele lepiej wyglądasz, tato.

– Owszem. W końcu się wyspałem.

– Ach, tak. Ja, niestety, nie.

Zauważył, że jest blada jak ściana.

Czyżby bała się umrzeć? – pomyślał, przecierając szmatką kieliszek, który trzymał w ręku. I, jak gdyby nigdy nic, kontynuował przegląd szampanek.

– Wydajesz mi się wręcz radosny – nawiązała Sérieuse do swoich poprzednich słów.

– Lubię przygotowania do garden party. Łączą się ze wspomnieniami z wcześniejszych przyjęć, kojarzą z musowaniem szampana. To coś jak przedsmak upojenia.

– Nie możesz za dużo pić. Musisz wcelować w głowę.

Jest okropna. Właściwie zasługuje na to, żebym zrobił to, czego sobie życzy!  
– pomyślał.

Zauważył, że córka nie przykłada się do tego, co robi, i nie omieszkał tego skomentować.

– Jak możesz przywiązywać taką wagę do przejrzystości kieliszków, wiedząc, co się jutro stanie? – oburzyła się.

– To jedna z nauk Buddy: „Kiedy zmywasz naczynia, zmywaj naczynia”.

– Naprawdę tak powiedział?

– Mniej więcej. W każdym razie coś w tym duchu.

– Wiesz, boję się umrzeć.

– Chcesz powiedzieć, że się wycofujesz?

– Nie. I gdybym w ostatniej chwili błagała cię, żebyś mnie oszczędził, w ogóle na to nie zważaj.

– Zgoda.

Neville, niezbyt zadowolony z efektów pracy wykonanej przez Sérieuse, wziął do ręki jeden z kieliszków postawionych przez nią na tacy i jeszcze raz umył. Dziewczyna westchnęła.

– Już mnie nie kochasz.  
– Bo myję niedoczyszczony przez ciebie kieliszek?  
– I jeszcze sobie ze mnie kpisz. W gruncie rzeczy myśl, że jutro mnie zabijesz, wcale nie ma ci spokoju.

– Poprzestaję na ścisłym przestrzeganiu twoich zaleceń. Wytyczna brzmi: „Będziesz musiał”. Jak pamiętasz, wczoraj się buntowałem, broniłem się ze wszystkich sił, nie godziłem na wiele rzeczy.

– A teraz się zgadzasz?  
– Jakoś się z tą myślą oswajam.  
– Odrażające.  
– Czego więc byś chciała?  
– Chciałabym poczuć, że cierpisz.  
– Sama mówisz, że niczego nie czujesz.  
– Wczoraj czułam twój ból. Byłam po dwakroć szczęśliwa: że w ogóle coś czuję i że myśl o tym, że masz mnie zabić, cię dobija.

– Wzruszające!  
– Ale już tak nie jest. Już nie cierpisz.  
– Nie znoszę bufonady. Świadczy o prostactwie. Weź sobie tę mądrość do serca.

– Ach, tak. Sądzisz, że prawienie mi morałów czemuś służy?  
– Oczywiście. Masz jeszcze przed sobą dwadzieścia cztery godziny życia, obawiam się najgorszego, po tym jak odkryłem pewne cechy twojej osobowości.  
– W gruncie rzeczy jest ci na rękę, że się mnie pozbędziesz. Co za ulga! Nie jestem ani ładna, ani miła, ani lubiana.

Henryk westchnął i spojrzał córce w oczy.

– Zwykły kryzys wieku dorastania, oto co mi fundujesz.  
– Nieprawda. Nakłanianie ojca do tego, by dokonał zabójstwa na dziecku nie jest chyba czymś zwyczajnym!

– Więc o to ci chodzi, moja mała? Chcesz być oryginalna?

– A ty chcesz mnie upokorzyć, zanim mnie zabijesz?

Wybuchła płaczem. Neville rozczulił się i ją objął. Ileż to czasu minęło, odkąd widział ją po raz ostatni we łzach? Pozwoliła się delikatnie przytulić, ale chwilę potem uwolniła się z uścisku, jakby sobie przypomniała, że takie zachowanie nie pasuje do sytuacji.

Miała twarz tak bardzo zmienioną, że nie mógł już dłużej nad sobą zapanować. Wpadł w pułapkę.

– Nie zabiję cię, moje dziecko. Dlatego jestem szczęśliwy.

– Jak to nie zabijesz? – zapytała drżącym głosem.  
– Nie zabiję cię, obiecuję. Nie płacz, moja mała.  
– Ale ja chcę od ciebie czegoś całkiem innego. Nie wolno ci złamać obietnicy!

Henryk wrócił do kieliszków.

– Jesteś wiecznie niezadowolona.  
– Jakież z ciebie głuptas! Nie domyśliłeś się, że odgrywam komedię? Wcale się nie boję śmierci! Po prostu wyraźnie było widać, że już nie zamierzasz mnie zabić. Chciałam się tylko upewnić.

– Właściwie zasługujesz na to, zarazo, żebym cię zabił! Jednak się nie doczekasz.

– Gotów jesteś zrobić wszystko, byle tylko mi dokuczyć.  
– Przeszanieś w końcu wygadywać bzdury?  
– Wczoraj się zgodziłeś. Co się stało?  
– W przepowiedni wróżki była mowa o tym, że zabiję jednego z gości. Ty nie będziesz gościem.

Sérieuse oniemiała.

– Więc o to chodzi – powiedziała po dłuższej chwili.  
– Przecież jesteś domownikiem.  
Wybuchła śmiechem.  
– Wiesz co, tato? Gdyby cię nie było, należałoby cię wymyślić. Jak można być takim formalistą?

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.  
– Skoro przywiązujesz taką wagę do form, po prostu mnie zaprosź.  
– Nie ma mowy. Jesteś moją córką, mieszkasz u mnie, jesteś niepełnoletnia, jesteś mi winna posłuszeństwo.

– Żadna z tych rzeczy nie wyklucza statusu gościa. Dobrze o tym wiesz.  
– Jest sobotnie popołudnie, przyjęcie odbędzie się jutro, w niedzielę. Zaproszenie nie zdąży dojść.

– Żartujesz sobie ze mnie. Ileż to razy zapraszałeś ludzi ustnie?  
– Ale to nie jest zaproszenie, jak się to określa, sporządzone w należytej formie.

– Gwiżdżę na to. Zaproś mnie.  
– Taki arogancki dyktat zdecydowanie mnie do tego zniechęca.  
– Może nie jestem godna być twoim gościem, ale wystarczy jedno twoje słowo, a nim będę.

– Impertynentka!  
– Skądże znowu! Dobrze wiem, że domagam się od ciebie czegoś w rodzaju pasowania na rycerza. I mam nadzieję, że mi tego nie odmówisz.

– Nie zasługujesz na to.



– Przejrzałam listę twoich gości. Żaden z nich na to nie zasługuje, tato.  
– Jakże łatwo wydajesz pogardliwe sądy o ludziach. Nic o nich nie wiesz.  
– Wiem, że nie dorastają ci do pięt.  
– Kochasz mnie czy nienawidzisz?  
– Nienawidzę cię, bo uosabiasz szlachtę, która jest przeżytkiem. I z tego samego powodu cię kocham. Przez ciebie uwierzyłam, że wszyscy dorośli są do ciebie podobni. Drogo mnie kosztowała ta pomyłka.

– Irytujesz mnie tym swoim enigmatycznym językiem.

– Zaproś mnie, tato.

– Gdybym cię zaprosił, skazałbym cię na śmierć.

– I o to chodzi.

– Jak mógłbym na coś takiego przystać?

– Nie jestem rozpieszczonym dzieckiem, tato. Nigdy cię o nic nie prosiłam.

Robię to po raz pierwszy w życiu.

– To prawda. Jak na pierwszy raz śmiało sobie poczynasz.

– Nie masz wyboru. Nie zapominaj o przepowiedni.

– Dziś w nocy postanowiłem, że zabiję pierwszego lepszego z gości, trochę na chybił trafił.

– Chyba zwariowałeś! Évrard przyznałby mi rację.

– Gdybym zapytał Évrarda o to, do czego chcesz mnie nakłonić, na pewno bym usłyszał, że byłby to w naszych sferach precedens.

– A Atrydzi?

– Nie byli Belgami.

– Śmieszny jesteś, tato. I śmieszne jest twoje wieczne poszukiwanie precedensów. Po co ci one?

– To jeden z arystokratycznych kanonów. Bierzemy przykład z czynów naszych przodków.

– Gratuluję! Z taką filozofią daleko się nie zajędzie.

– A ja uważam, że tak.

– Cały ten twój wywód nie trzyma się kupy. Wystarczy sięgnąć do źródeł: przecież zawsze był jakiś człowiek z wyższych sfer, który coś zrobił jako pierwszy.

– Wyobraź sobie, że nie mam najmniejszej ochoty być pierwszym, który zabije na przyjęciu własne dziecko.

Sérieuse, która dotąd panowała nad sobą, wpadła w straszną złość.

– Nie rozumiesz, że tu nie chodzi o twoje widzimi się? Los nic sobie z niego nie robi! Co ty sobie wyobrażasz? Że życie czeka na to, byś łaskawie się na coś zgodził?

– Daruj sobie, kochanie, te mądrości. Przekonałem się na własnej skórze, jak ciężko bywa w życiu.

– Bo straciłeś siostrę? Też coś! To dramat, za który nie ponosisz winy. Nie

uda ci się wymknąć, dołączysz do grona winowajców!

– Zamilcz!

– Nic z tego! Chciałbyś! Umrzesz jako winowajca, jak wszyscy!

– Jak ty?

– Jak ja, tyle że w inny sposób.

– Co ty wygadujesz? Naprawdę musisz iść do jakiegoś specjalisty.

– Nie mam czasu. Garden party już jutro. Zaproś mnie.

Złość dziewczyny, która w pierwszej chwili przypominała bunt, teraz wyraźnie osłabła i Sérieuse wyglądała jeszcze groźniej. Henryk poczuł się tak, jakby ktoś bezpardonowo go zaatakował, bardziej nawet fizycznie niż psychicznie. Dlatego skapitulował i powiedział stłumionym głosem:

– Zapraszam cię.

W mgnieniu oka złagodniała.

– Zdajesz sobie sprawę, tato, do czego cię te słowa zobowiązują, prawda?

– Tak.

– Dziękuję. Jestem ogromnie wzruszona.

Twarz nastolatki nabrała promiennego wyrazu. Sérieuse musiała zdawać sobie sprawę, że pięknie wygląda, bo chcąc zwrócić na siebie uwagę ojca, stroiła, jak to dziewczęta w jej wieku, wystudiowane miny. Neville w mig się domyślił, że za jej nieodpartą potrzebą stania się ofiarą mordercy kryje się jakiś impuls przypominający popęd seksualny. Ponieważ nie znosił wszelkich niewyraźnych sytuacji, skrzywił się. Twarz dziewczyny natychmiast straciła blask.

– Nie podobam ci się, bo przypominam cię. Wiesz o tym?

– Może skończysz z tymi niestosownymi uwagami?

– Masz rację. Zadajmy kłam przysłowiu „Co się przytrafiło dwa razy, przytrafi się i trzeci”. Nie mam ochoty znów cię przekonywać, żebyś mnie zabił. Ustalmy plan działania. W którym momencie wkroczysz do akcji?

– Goście zaczną się schodzić koło czternastej. O szesnastej ma się odbyć w ogrodzie recital.

– Doskonale. Na początku recitalu się ulotnisz. Nikt tego nie zauważy, wszyscy będą słuchać muzyki. Z tego samego powodu nikt nie zwróci uwagi na to, że wróciłeś ze strzelbą. Będę stała w pierwszym rzędzie widzów, w rogu. Wtedy wystrzelisz.

– Idź.

– Wiesz, że nie wolno ci już zmienić zdania?

– Wiem. Idź.

Przygnębiony hrabia skończył właśnie zajmować się kieliszkami i próbował zebrać chaotyczne myśli, z którymi postanowił zwrócić się do Boga: Mój Boże, nawet nie wiem, czy jestem człowiekiem wierzącym, ale muszę się z kimś swoimi myślami podzielić. Zwracam się więc do ciebie z modlitwą. O co się modlę? Sam

nie wiem. Czy rzeczywiście zasłużyłem na tak podły los? Nie śmiem o tym wyrokować. Byłoby wspaniale, gdybym umarł tej nocy nagłą śmiercią. O nic cię nie proszę, Boże. Nie zastanawiałem się nawet do tej pory, czy w ciebie wierzę, nigdy o tobie nie myślałem. Gdybym wzywał cię teraz na ratunek tylko dlatego, że jestem w rozpacz, wstydziłbym się własnej niegodziwości. Niech się zatem stanie, co ma się stać, niczego więcej nie chcę.

Sérieuse przywołała przykład Agamemnona i Ifigenii. On, znając podstawy katechizmu, pomyślał o Abrahamie i Izaaku. Najpierw dostrzegł cię nadziei, ale po chwili poczuł jeszcze dotkliwszy ból. To całkiem inna historia, myślał z rozpaczą. Izaak nie był pomysłodawcą czynu ofiarnego. Nie będę zbawiony. Jak to powiedziała Sérieuse? „Umrzesz jako winowajca, jak wszyscy!” Nic z tego nie rozumiem. Przecież to dziecko zrodzone z miłości, otaczane czułością, nic złego jej w życiu nie spotkało. Jak to się stało, że spłodziłem takie uosobienie przemocy?

W nocy przypomniał sobie opowieść o Hiobie. On też nie był świadom swego szczęścia, rozważał dalej. Utrata majątku, żony i dzieci to jeszcze nic wielkiego! Gdyby Bóg kazał mu własnoręcznie zabić żonę i dzieci, wtedy bym mu współczuł. Ale tak, to błaźnactwo. Gdyby jego żona i dzieci domagały się śmierci z jego rąk, wtedy bym się nad nim litował. Co też ja mówię? Jestem w stokroć gorszej sytuacji. Zabiję tylko jedno, najmłodsze dziecko. Dokonam zbrodni, po której moja żona i dwójka starszych dzieci będą dalej żyły. Znienawidzą mnie, nie potrafią tego zrozumieć. I będą miały rację. Nie dopiszę pyszałkowatości do listy swoich niecznych czynów, jednak ośmielę się powiedzieć Bogu, że buntuję się przeciwko takiemu losowi. Hiob był mężem sprawiedliwym. Pewnie jestem od niego gorszy, bo nigdy nie próbowałem stać się człowiekiem wiary. Uważam jednak, że Bóg postąpiłby nieuczciwie, chcąc mnie za to ukarać. Ktoś powie, że nie mam prawa go osądzać. Cóż gorszego może mi grozić niż to, co mi się wkrótce przydarzy? Coś ci powiem, Boże: nie jesteś arystokratą. Nie znam cię.

Po trzech bezsennych godzinach przypomniał sobie, uśmiechając się gorzko, zdanie ze Stendhala: „Jedynym usprawiedliwieniem Boga jest to, że nie istnieje”.

Błuznię, prawda? – zwrócił się znów do Boga. Mam ochotę jeszcze bardziej bluźnić. Wydaje mi się, że do niczego więcej nie jestem już zdolny.

O czwartej nad ranem Bóg zlitował się nad nieszczęśnikiem tak nieskorym do nienawiści. Neville w końcu zasnął.

Kiedy się obudził, był tak zdumiony, że udało mu się zasnąć, iż gotów był doszukiwać się w tym działania sił nadprzyrodzonych. Ale przypomniał sobie o zbrodni, której miał dokonać za parę godzin, i wrażenie przysło.

Na szczęście zajęć przed przyjęciem nie brakowało. Do obsługi gości zaangażowano młodych ludzi z miasteczka: Henryk przyjął ich i wytłumaczył im, co mają robić.

Młoda sopranistka Pascaline Ponthois zjawiała się wcześniej niż planowano.

Hrabia, zbyt zajęty innymi sprawami, zawołał Sérieuse:

– Idź z panną Ponthois na spacer do lasu. Ma dziewiętnaście lat, będziecie miały o czym ze sobą rozmawiać.

Sérieuse spoglądała na niego jak na człowieka niespełna rozumu i niechętnie wykonała polecenie.

Kwiaciarz pomylił zamówienie zamku Pluvier z zamówieniem domu pogrzebowego z Meix-le-Tige. Trzeba było pomóc Aleksandrze w załatwieniu tej przykrew sprawy.

Elektra nie była pewna, czy udały jej się bezy, ojciec był zmuszony zjeść aż cztery, by ją przekonać, że są wyśmienite. Zjedzenie czterech bez w takiej sytuacji graniczyło z torturą.

Musiał wysłać Orestesa do barona Snoya, żeby naładował w samochodzie akumulator.

Pośród całego tego zamieszania myślał od czasu do czasu o tym, czego miał dokonać po południu. Przechodziły go wtedy dreszcze, miał ochotę wyć.

Była przepiękna pogoda.

Kiedy Sérieuse wróciła ze śpiewaczką ze spaceru, Henryk powiedział:

– Idź się ubrać, kochanie, lada chwila zjawią się goście.

– Jestem gotowa. Nie zamierzam się przebierać.

Dziewczyna wyglądała, jakby była w żałobie. Hrabia powstrzymał się od komentarza. Pomyślał tylko, że i tak niczego to już nie zmieni.

Zaraz na początku przyjęcia obudziło się drzemiące w nim sceniczne zwierzę. Nic nie mógł na to poradzić. Gdy tylko goście czuli na sobie jego spojrzenie, poprawiał im się nastrój. Uśmiechał się do nich w szczególny sposób i wołał:

– Jakże mi miło państwa widzieć!

Wygłaszał tę powitalną formułę szczerzej niż kiedykolwiek dotąd. Coś mu w środku mówiło, że trzeba mieć dużo odwagi, by zdobyć się na wizytę w domu obłąkanych. Gdyby wiedzieli...

Obejmował gości, całował panie w rękę, wybuchał serdecznym śmiechem, podziwiał suknie, cieszył się, że ktoś wrócił do zdrowia, gratulował powodzenia w jakimś przedsięwzięciu, wyrażał współczucie z powodu zwichniętego nadgarstka, zachwycił się tym, jak pięknie rosną dzieci. Był gospodarzem doskonałym, jego dobry nastrój udzielał się wszystkim naokoło, taki był zresztą zawsze.

Aleksandra nie mogła się powstrzymać, by mu nie powiedzieć:

– Wspaniale wyglądasz.

– Ty też. Świetnie ci w tym nowym stroju!

– Mój ty staruszkule, znasz ten komplet od dwudziestu lat.

– Niewielu żonom udało się utrzymać tak znakomitą figurę.

Zamek Pluvier wyglądał olśniewająco. Jego subtelne barwy mieniły się w jesiennym świetle.

– Pański zamek doskonale się trzyma – mówili Neville’owi goście.

Wiedział, że to nieprawda, ale miło mu było tego słuchać. Kochany staruszkę, myślał, nigdy nie był tak piękny jak dziś. Wieczorem trafię do więzienia. Już cię więcej nie zobaczę. Będę za tobą tęsknił.

Nawet Kleofas de Tuynen wydał mu się sympatyczny.

Évrard zjawił się spóźniony.

– Wybacz, drogi Henryku. Podobno zamierzasz mnie zamordować. Pisałem testament.

Orestes i Elektra olśniewali gości wspianą aparycją.

– Widziałeś? Sérieuse jest w czerni – powiedziała Aleksandra do męża.

– Zauważyłem.

– Dobrze jej w tym, nie sądzisz?

– Może i tak...

Hrabina wzięła dwa kieliszki szampana i podała jeden mężowi.

– Wypijmy za udane garden party – powiedziała.

Wypili.

– Ależ to *laurent-perrier cuvée Grand Siècle!* – zawołała.

– Jesteś prawdziwą koneserką, moja droga.

– To szaleństwo, kochanie. Myślałam, że jesteśmy biedni.

– Bo jesteśmy.

– No tak.

Goście rozeszli się po ogrodzie. Wyczuwało się w ich ruchach harmonię, która nie mogła być dziełem przypadku. Neville dostrzegł w tym zapowiedź udanego przyjęcia: ludzie przechodzili samych siebie. W trosce o to, by całość wypadła jak najwykwintniej, starali się sami pokazać z jak najlepszej strony. Sunęli miękko ku sobie, ich słowa miały lekkość i wdzięk poematów prozą. Nikt nie próbował przyćmić innych, nawet najbardziej nieśmiały udawało się jakoś zaistnieć.

Cóż to za uczta dla mych oczu i uszu, dla mojej duszy! – pomyślał gospodarz. – A jednak już wkrótce zniszczę na zawsze to doskonale dzieło! Nie dość, że zamorduję córkę, to jeszcze pogrzebię ten świat. Jestem pogrobowcem staroświeckiej cywilizacji rycerskiej, wyrafinowanej sztuki bycia razem. Po mnie będzie już tylko banalne życie salonowe.

Patrzył na swoje dzieło z dumą i podziwem i nagle ujrzał Sérieuse przemykającą wśród gości z nieprzeniknioną twarzą. Pomyślał: wszyscy wokół są szczęśliwi, cieszą się przyjęciem, ty też byś mogła, ale nie, tobie to nie wystarczy, ty musisz cierpieć i przyćmić tym cierpieniem całą resztę.

Gości zaproszono na recital, który miał się odbyć w głębi ogrodu.

Śpiewaczka zapowiedziała, że wykona pieśni Schuberta ze zbioru *Łabędzi śpiew*.

– Wprawdzie były skomponowane na głos tenorowy, ale wykonywały je już przede mną inne sopranistki.

Henryk ulotnił się dyskretnie. Wszedł na szczyt wieży, gdzie czekała na niego broń. Popatrzył przez okno na słuchających muzyki gości.

*Łabędzi śpiew*, celny wybór, pomyślał. Był zbyt daleko, by usłyszeć pieśń, czy też rozróżnić twarze, ale czuł, że słuchacze są wniebowzięci.

Młodziutkiej Ponthois nie można odmówić talentu, stwierdził. A ja zepsuję tę muzyczną ucztę swoją strzelbą! Zabronił sobie więcej o tym myśleć i zszedł na dół.

Doszedł do końca ogrodu, nie próbując nawet ukryć strzelby. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Gdy dołączył do grupy, Pascaline Ponthois zaczynała śpiewać *Serenadę*. Ludzie byli całkowicie zauroczeni.

Wkroczył do akcji pod koniec utworu, postanowił, podchodząc bliżej do córki. Ta wsunęła mu do ręki karteczkę: „Nie zabijaj mnie. Zmieniłam zdanie”.

Poczuł, że ogarnia go straszliwy gniew, nad którym nie był w stanie zapanować. Niech nie liczy, że ją oszczędzę, zbyt daleko zaszedłem, buntował się w duchu. Ostrzegła mnie zresztą, że gdyby chciała się w ostatniej chwili wycofać, mam nie zwracać na to uwagi. „Będziesz musiał, będziesz musiał!”, powtarzała.

Goście wokół niego, głęboko poruszeni, słuchali kolejnych strof *Serenady*. Tylko on wiedział, że za chwilę, za jego sprawą, miejsce tych czarownych, przejmujących dźwięków zajmie przemoc. Spojrzał na twarz Sérieuse: płakała.

Za późno na łzy, dziewczynko. Gdy muzyka umilknie, przejdę do czynu, postanowił.

Czuł wściekłość podobną do tej, którą musiał czuć angielski pułkownik w końcówce filmu *Most na rzecę Kwai*, gdy stwierdził, że jego przeciwnicy z nadzorowanego przez Japończyków obozu jenieckiego szykują się do wysadzenia mostu, który na rozkaz tychże pod jego komendą własnoręcznie wybudowali. Chciał za wszelką cenę ocalić potworne, okupione nadludzkim wysiłkiem dzieło.

Pod koniec utworu Sérieuse wzięła ojca za rękę i odciągnęła na bok.

– Już nie chcę umrzeć.

– Nic mnie to nie obchodzi. Kazałaś mi przysiąc, że nie będę cię słuchał, jeśli zechcesz się wycofać.

– To ta muzyka. Głęboko mną wstrząsnęła.

– Nie słuchałaś nigdy muzyki, głupiutka?

– Słuchałam, ale nie takiej. To ten Schubert. Od tak dawna próbowałam poczuć jakieś emocje! Popatrz na mnie: teraz odczuwam je aż nadto.

– Czyżby jakieś frustracje? Jeszcze jeden powód, żeby cię zamordować!

Zaśmiała się przez łzy.

– Kłątwa została zażegnana, tato! Czuję się trochę tak, jakby głos sopranistki przebił pancierz, który uciskał mi serce.

– Mam to w nosie. Muszę dotrzymać umowy.

Wycelował w głowę córki.

– Nie marnuj sobie życia, nie zabijaj mnie, ja chcę żyć!

– Jesteś wstrętną, okrutną smarkulą, jesteś jak chorągiewka na wietrze, to nie do wytrzymania! Dlaczego miałbym się nad tobą ulitować?

– Bo jestem wreszcie szczęśliwa.

– Nic mnie to nie obchodzi. Umrę jako winowajca, jak wszyscy. Muszę sprawić, by przepowiednia się spełniła!

– Ależ tato, ta przepowiednia to jakaś bzdura!

– Wczoraj mówiłaś co innego.

– Chciałam cię przekonać, niech będzie, ale jak można wierzyć w przepowiednię kobieciny, która jednocześnie mówi, że nic złego się po morderstwie nie stanie.

– W to akurat nie wierzę. Powiedziała tak, bo chciała mnie oszczędzić, przez grzeczność.

– Przez grzeczność! Ta wróżka narusza samą istotę przepowiedni, tę mianowicie, że nie przepowiada się niczego komuś, kto o to nie prosi.

– Mimo to chcę cię zabić! Zepsułaś mi przyjęcie!

– Chyba żartujesz! Nigdy nie było tak udane jak dziś. Goście są zachwyceni.

– Nie mogę tego powiedzieć o sobie. Od trzech dni przeżywam przez ciebie piekło.

– Widocznie inaczej nie dałoby się mnie uratować.

– Co za wstrętna egoistka!

– Masz rację. Ale chyba z tego powodu mnie nie zabijesz.

– W każdej przyzwoitej powieści wzmianka o strzelbie oznacza, że ktoś musi jej potem użyć.

Sérieuse wyrwała ojcu strzelbę z rąk i wrzuciła do jeziora.

– Sprawa załatwiona – powiedziała. – Idę dalej słuchać muzyki.

Oniemiały Henryk wpatrywał się w miejsce, gdzie woda pochłonęła jego strzelbę, starając się na próżno zrozumieć koszmar, od którego właśnie się uwolnił.

Wrócił do ogrodu, gdzie recital dobiegał końca. Goście zgotowali Pascaline Ponthois gorącą owację. Sérieuse głośno szlochała.

Co za groteskowa smarkula, myślał w osłupieniu. Cóż, podobno młodość ma prawo błędzić.

Zauważył, że jedna z kelnerek zasłabła i chwieje się na nogach. Wziął od niej tacę pełną kieliszków z szampanem, chciał ją postawić na stole, ale się potknął. Taca wyleciała w powietrze, spadła pani van Zotternien na kark i spowodowała uraz kręgów szyjnych. Kobieta w jednej chwili zmarła.

Wszyscy zaświadczyli, że był to wypadek. Pani van Zotternien była starą, chciwą, złośliwą, powszechnie nielubianą wdową.

Kiedy otwarto jej testament, wyszło na jaw, że zapisała cały swój pokaźny, jak się okazało, majątek Henrykowi Neville'owi, którego darzyła śmiesznym, na szczęście dyskretnym afektem.

Dzięki temu cudownemu spadkowi, wartemu miliony, nikt już nie myślał o sprzedaży zamku. Właśnie przystąpiono do remontu dachu.

*Sérieuse* – w języku francuskim znaczy rozważna, poważna (przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

Tłum. Kazimierz Morawski. [\[wróć\]](#)

*W poszukiwaniu straconego czasu*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński. [\[wróć\]](#)